AS

Nr. 13
27 MARCA 1938 R.
CENA 40 GROSZY

„O DOLORES!"





Tematy wiedeńskie

LUDWIK ŚWIEŻAWSKI



W winiarni „pod zielonym fartuszkiem"

W starej wiedeńskiej gospodzie piję heurigera. Młode wino ostatniej jesieni, najnowszy moszcz z okolicznych winnic, z Grinzingu, z Nussdorfu, Sieweringu i Klosterneuburgu.

Sufit w gospodzie sklepiony, ze ścian sterczą jelenie rogi.

Gospodyni, podawszy mi wino i zamieniwszy towarzyskich kilka zdań, powraca do gości, z którymi familjarnie rozmawia, robiąc równocześnie robótkę na drutach. Ktoś zaczyna głośno czytać gazetę.

Duży zegar ścienny dzwoni melodyjnie.

Długie stoły stoją tylko pod ścianami, przy nich ławy.

Mała dziewczynka wbiega z ulicy — drzwi dzwonią — niesie szklanną „halbę" na piwo, sama sobie je nalewa, zostawia pieniądze na ladzie i wynosi kufel.

Wszystko jest „gemütlich".

Wychodzi jedna z kobiet, żegna się ze wszystkimi. Jeszcze z ulicy otwiera drzwi i woła, że nie jest już tak zimno.

Wchodzi tęgi piwosz z faworytami, zdejmuje marynarkę, zostaje w zielonym jaskrawym swetrze i zasiada do domina.

W kąciku siedzi panienka z włosami à la Gretchen. Ciągnie wino. Przy niej jej znajomek, schowany po uszy w gazecie. Panienka jest cnotliwa, wzrok spuszcza ku ziemi, gdy się na nią popatrzeć.

Przy stole familijnym zaczyna się biadanie na ciężkie czasy, biadanie z przymieszką humoru. Schodzi rozmowa na politykę, na Francuzów. Francuzi, to nieodzowny zwrot rozmów Wiedeńczyków.

Gospodyni od czasu do czasu dodaje grubym głosem swoje uwagi, spoglądając z ponad okularów.

Paniusia o czerwonych policzkach, nie wdając się w rozmowę, ręce założyła i wpatruje się wystraszonym wzrokiem w mówiących o polityce.

Jeśli ręce rozłoży, to tylko na to, aby sięgnąć po piwo.

Piec duży, ozdobny, z półeczkami, stoi prawie na środku izby. Pali się w nim, bo za okiennemi drzwiami jeszcze zimno.

Przez okna widać zarysy tumu św. Szczepana. Zegar idzie głośno, ale czas zdaje się tutaj nie dochodzić.

Na ulicy stanął skrzypek i gra rzewnie. Widać go przez szybę wystawową, przez wielkie litery gotyckie. Wygina się w grze smutnej. Śnieg pada wokoło.

W pokoju Schuberta.

Na Nussdorfstrasse w empirowym domku jest mieszkanko muzyka. Kilka pokoików zmienionych na muzeum pamiątek. Fotografje, rodzina, przyjacielskie koło, nieśmiałe zabawy z panienkami (domek trzech dziewcząt), to znowu Szubert przy fortepianie. Wąska alkowa, w której się urodził. Ładne mebelki, sekretarzyk jak wieżyczka i nuty zapisane, delikatne, równe.

Czyżby szpinet sam zagrał? Rozbrzmiewa marsz wojskowy, przechodzi w wiosenny sen i w „Staendtchen". A równocześnie ciągle przewija się walc, kongres wiedeński tańczy.

Poruszył się cień z wysokim kołnierzem. Rozełkało się powiewne przelotne momento musicale.

Nie grał szpinet. To był tylko moment muzyczny.

Młody malarz z cygarem.

Tutaj jeszcze istnieją mieszkania, w których przebywał młody chudy malarzyk. Przyjechał tu do Krakowa, nabiedował się, uczęszczał do akademji, a później stał się chlubą Polski. Jeśli miał trochę pieniędzy, nie miał, to przychodził tam zobaczyć śliczną córkę „gospodnika" Różę Eralównę. Gdy pofllirtował z wesołą Wiedenką w niebieskim fartuszku, to potem lżej mu było na sercu. Żeby obałamucić głód, palił wąskie cygara, bez których nie mógł się obejść.

Zresztą łatwiej mu było biedować w Wiedniu niż gdzieindziej. Namawiając przyjaciela, Grabowskiego, aby się przeniósł do Wiednia, pisał: „Mój drogi, w Wiedniu tak samo biedę klepać można, jak i w Krakowie. Jeżeliś polską biedę tak bardzo pokochał i do niej przywyknął, poznaj-że i niemiecką; kto wie czy niemiecka nie jest mniej straszna, jak nasza polska!".

Wiedeń jest miastem, które urzeka swoją beztroską i wesołością. Jednego razu Grottger za ostatnie pieniądze kupił rękawiczki na bal.

Wtedy na jednym balu poznała go Karolina Giżycka, aby na drugim balu już go pożegnać i więcej nie zobaczyć.

Zczasem przeżył w Wiedniu okres świetności materjalnej, został ilustratorem kilku największych tygodników niemieckich, sprowadził rodzinę do siebie, zamieszkał w jednej z najładniejszych wówczas kamienic wiedeńskich, w Heinrichhofie. Miał już „Polonię" i oba cykle „Warszawy". „Warszawą" łzy wyciskał z oczu Wiedeńczyków, a jeden ze znanych poetów Ludwik Foglar wygłosił na zgromadzeniu artystycznem wiersz na cześć Grottgera i jego „Warszawy". „Mój Boże! — możnaż być lepiej wynagrodzonym?" — pisał Grottger do Dzieduszyckiego.

Dzieduszycki Włodzimierz za ofiarowaną mu „Warszawę" przesłał Grottgerowi 700 złotych reńskich. Było to wszystko, co dostał Grottger z Polski.

W całem jego życiu tylko Wiedeń, tylko kilku arystokratów wiedeńskich (i stypendjum cesarza austrjackiego) poniosło pewne zasługi w kształtowaniu się jego wielkiej polskiej sztuki. Rodacy, oprócz kilku przyjacielskich domów — nic mu nie dali.

Cenniejsze dla Grottgera i jego sztuki było to, co mu dał Wiedeń za życia.

„Die Beste Gattin"

Wiadomo, że dziewczęta wiedeńskie są swobodne i wesołe, przystępne i miłe, a żony oddane i pracowite, uległe i dobre. Słynne są kobiety niemieckie, z szydełkową robotą w każdej wolnej chwili.

Lecz to ostatnie, to drobiazg. Zalety ich muszą być znaczne, jeśli utrwalono je w marmurze.

W Wiedniu jest pomnik żony.

Żadna chyba nie została takim uczczona monumentem, jak tutaj w kościele Augustynów. Najpiękniejsze jest to z całego Wiednia dzieło rzeźbiarskie. I właśnie jej poświęcone, der besten Gattin. Miasto, które najpiękniejszy swój pomnik wzniosło najlepszej żonie.

Kościół Augustynów, — stary, pochodzi z XIV wieku, — stoi niepokaźnie przy wąskim a bardzo ruchliwym trakcie, jaki wiedzie z placu Wolności, z pod uniwersytetu i koronkowego ratusza przez miłą ulicę, Schottengasse, dalej przez Herrengasse na Opernring i Kärtnerstrasse. W osobnej kaplicy gotyckiej kolumny rozpromieniają się na sklepieniu.

Zakrystjanin zajęty jest kim innym. Wymykam się zadowolony i przez głuche korytarze przechodzę do kościoła, gdzie miał kazania stary mnich Abraham z Santa Klara.

Podchodzę do grobu arcyksiężniczki Marji Krystyny. Umarła przy końcu XVIII wieku. Grób wykonał Canova. Mauzoleum postawił zrozpaczony mąż, książę Albrecht von Sachsen-Teschen.

Biały jest pomnik grobowy, jaśnieje białością. Piramida wznosi się ostro ku górze, schody wiodą do trójkąta. W nim otwór grobu, równe wejście prostokątne, czarne, pełne milczącego wnętrza.

Widać ten grób otwarty i milczący.

Przy wejściu lew spoczywa, wspaniałe zwierzę, teraz łagodne, bo przejęte żałością. Na lewo oparty nagi anioł, siedzi na stopniach, jedną nogę niżej położył na schodach. Biała anielica o ciele smukłem, ze skrzydłami anielskiemi, o twarzy spokojnej i nieziemskiej.

Z drugiej strony nadchodzi orszak. Młoda kobieta i dwie przy niej dziewczynki niosą razem wieniec kwiatów. Już są przy wejściu do grobu. W pochyleniu ich wiele żałobnej boleści.

Za nimi starzec podąża i maleńkie obok dziecko. Dziecko jest strwożone, starzec smutny, lecz nie grobem przejęty, bo już z tem się obeznał, tylko żałością za tą, co tam śpi już snem nieprzespanym.

Dlaczegoś umarła, ty, która byłaś szczęściem? Mąż twój, książę Albert rozpacza i w sztuce chce odnaleźć zapomnienie. Nad drzwiami grobowca, na ścianie prosty położył ci napis::

U x o r i o p t i m a e
A l b e r t u s.

Nie napisał nic więcej.

Najlepszej żonie...

Pozostał ogromny smutek i cisza wieczysta. Nagi anioł myśli o wieczności.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2



ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

CENY OGŁOSZEN: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 13 **Niedziela, 27 marca 1938** **Rok IV**

ASY NUMERU 13-GO:

„VIE ROMANCÉE". 150-LATKI.
Piąta część świata, należąca do Anglji od końca XVIII w., stanowi dzisiaj potęgę ekonomiczną. To też budzi zainteresowanie i... pożądliwość świata, a zwłaszcza Japończyków. Str. 4—5.



WYNALAZKI. KTÓRE ZOSTAŁY NA PAPIERZE.
O fantastycznych pomysłach konstruktorów, które mimo cech prawdopodobieństwa okazały się utopią, pozostając w pamięci tylko nielicznych ludzi. Str. 6.



KRÓL WIOLONCZELISTÓW.
Pablo Casals mówi o zaniku wirtuozostwa. Str. 11.



Placówki dyplomat. w Warszawie:
AMBASADA ANGIELSKA.
Piękny pałac hr. Branickich na Nowym Świecie jest wytwornie i stylowo urządzoną siedzibą reprezentanta Jego Królewskiej Brytyjskiej Mości, grającego nie tylko w polityce, ale też w życiu towarzyskiem naszej stolicy wybitną rolę. Str. 14—15.



SALTO KAJAKOWCA.
Obserwujemy na fotografjach t. zw. „wywrotkę eskimoską" pod wodą. Str. 16—17.



ZIELONA DEKORACJA WNĘTRZ.
Zgodnie z ogólnym prądem ludzkości, również i mieszkanie staramy się obecnie wedle artystycznych wzorów jaknajbardziej przyozdobić zielenią i kwiatami. Str. 18.



MASKI DON JUANA.
Pod jakiemi postaciami występowali w ciągu wieków uwodziciele i jakiemi cechami się odznaczali? Str. 19—20.



Z teki muzycznej „Asa":
TANGO
Aleksandra Frączkiewicza. Str. 22.



WIOSENNĄ PORĄ NA ULICY.
Praktyczne wskazówki dla pań jak, co i kiedy należy obecnie nosić na ulicy. Str. 29.



Nowele. — Kącik filatelistyczny. — Życie towarzyskie i artystyczne. — Moda męska. — Dział gospodarstwa domowego. — Kosmetyka. — Humor i rozrywki umysłowe. — Nowe książki. — Na scenie. — Program radjowy.

Wczesna w tym roku wiosna przyśpieszyła prace na roli, które przy panującej obecnie u nas pogodzie odbywać się muszą w szybkiem tempie. Najbardziej charakterystyczną sylwetką na polach jest teraz fornalka z pługiem, który przygotowuje ziemię pod siew.

VIE ROMANCÉE

150 LATKI



Na lewo: Charakterystyczna chata australskich kolonistów z przed 100 laty, wg. współczesnego rysunku z „Illustrated London News".



Siedziba gubernatora Australji w Sydney w r. 1791 (według współczesnego rysunku).



Poniżej: Kapitan Artur Philip obejmuje w imieniu Anglji Australję w posiadanie 26 stycznia 1788 r. (Obraz A. Talmage).

Kontynenty, jak ludzie, zasługują na biografję romantyczną, gdyż tak, jak istoty, które je zdobywają i zamieszkują, przechodzą dramatyczne perypetje życiowe i „rodzą się" dla świata w zdumiewających nieraz okolicznościach, stając się bohaterami historyj z 1000 i jednej nocy.

A zaczyna się czasem w sposób niewinny i cudowny, jak w bajce o niedocenianym kopciuszku, który pewnego pięknego wieczoru zakwita całą swą krasą, gubi jakiś pantofelek i... zostaje, jak Australja, królewną kontynentów. Ale z pełnego tajemniczego czaru dziewczątka może pod wpływem dobrobytu życiowego wyrosnąć egoistyczny, napuszony babsztyl, zapatrzony w swoje świeżo nabyte jaśnie-państwo, a kwitnąca różowymi nenufarami i płomiennemi liljami, Australis Terra — stać się najbardziej samolubnym kontynentem, gdzie gromada „posiadaczy" spasionych na łatwym chlebie strzeże swego z niezbyt wielkim trudem zdobytego dobra, patrząc z cynizmem na zgłodniały kolorowy, a nawet biały tłum.



Okolice Sydney obfitowały 77 lat temu w bogate lasy i ogrody. (Rysunek z „Illustrated London News" z r. 1861).

Wokół spasionego Australijczyka, drzemiącego w leniwem odurzeniu i chwytającego „za kord", jak przez sen w poczuciu niebezpieczeństwa, tłoczy się wychudła, zgłodniała rzesza żółtych — spoglądająca zazdrośnie i chciwie na resztki, spadające z tamtych wielkopańskich stołów. Ale resztek tych ruszać nie wolno, choćby to były tylko mięczaki „frochusy", mogące dać swe skorupki na wyrób guzików japońskich. „Olbrzym-samolub" natychmiast uzbroi za bajeczną sumę flotyllę, która odpędzi od brzegów południowego lądu rybaków japońskich, zagnanych tu o tysiące kilometrów od ojczyzny najprymitywniejszą troską życiową.

„Nie dla psa kiełbasa"! — Trudno tu istotnie dopatrzeć się romantyzmu, chyba, że poczujemy burzę w powietrzu i zobaczymy oczyma wyobraźni dramatyczną walkę, jaka rozpęta się, gdy pęknie przeładowany i kipiący ludźmi kocioł japoński i ruszy potworną lawą wulkanu żółtych, by zalać australską próżnię; — bo jest bezwzględnie najsamolubniejszy z kontynentów, raj dla związków zawodowych i organizacyj, raj dla sytych, pobierających najwyższe na świecie płace, a jednak ciągle strajkujących robotników. Ziemia pełna wszelakich bogactw naturalnych i stworzonych przez człowieka. Ziemia węgla, miedzi, żelaza, złota, srebra i soli. Ziemia sadów i winnic, najlepszej na świecie wełny, olbrzymia wytwórnia mięsa, kopalnia wszelkich bogactw życiowych, niewyzyskanych ani w 1/4, — kraj wszelkich możliwości rolniczych i górniczych, wszystkich klimatów, najróżnorodniejszych krajobrazów, „curiosum natury", Mekka uczonych z jej różnemi formami ludzkiemi i zwierzęcemi i roślinnemi, najstarszy kontynent, który świat pociąga, a który światu tyle, ileby mógł dać — nie daje.

Australję odkryli definitywnie i wykorzystali Anglicy, interesowali się nią Holendrzy, Portugalczycy i Belgowie, zaglądając do niej to z tego, to z owego końca, pisząc na jej temat bardzo subjektywne i podyktowane konjunkturą osobistą czy publiczną oceny. Bliską była Australja prawdopodobnie zawsze dla malajskich, przesławnych żeglarzy.

„Cherchez la femme" — jeśli dzieje się coś ważnego, — i tym razem Wenus przechodziła przed słońcem, wobec czego postanowiono to zjawisko oglądnąć dokładnie, wybierając na ten cel James'a Cook'a, który swą inteligencją i czynami dał się już poznać społeczeństwu angielskiemu w podobnych sprawach.

James Cook nietylko zajął się planetą, ale jak przystało na człowieka o szerokim horyzoncie, obserwował masę innych faktów,

a także objechał Australję, żeby raz skończyć z niepewnością i wieściami zagmatwanemi, które na jej temat krążyły. Działo się to z końca XVIII-ego wieku, między 1770—1783, kiedy o losie i charakterze ludnościowym Australji zadecydowało oderwanie się Ameryki północnej, która zorganizowała się w odrębny naród mimo wspólnoty języka, kultury i tradycji z Anglją, tracącą równocześnie lokum dla przestępców, produkowanych podówczas na wyspach brytyjskich masowo z pańską bezmyślną swobodą — za sławnego panowania Jerzego III-go, miłośnika władzy nieograniczonej, — dopóki nie dostał obłędu. Pierwszy więc transport ludzi, z których większość stała się katorżnikami dzięki popychającej ich ku temu losowi niesprawiedliwości społecznej oraz przestępców politycznych irlandzkich — zaszczycił świeżo dla korony angielskiej objęty kontynent i stał się zaczątkiem „białego zaludnienia" dzisiejszej 6-cio miljonowej Australji.



Na ulicach Sydney kursowały w końcu XIX w. parą poruszane tramwaje, z których cała Australja była bardzo dumna.



... ale znacznie prędzej odbywa się obecnie komunikacja zapomocą niezliczonych aut, kursujących po ulicach stolicy.



W kole: Olbrzymi most udostępniony dla ruchu w r. 1932 jest jedną z najciekawszych technicznych zdobyczy stolicy Australji.

Obozy odosobnienia już wtedy miały niepoślednie znaczenie i niejedno kwitnące miasto australskie powstało z tych katorżników, z których wielu wartością przewyższało angielskich dostojników. Niemniej jednak etykietka „katorżnicza" w herbie miasta nie musiała specjalnie odpowiadać szybko narastającej rasie snobów australskich, gdyż kategorycznie po pewnym czasie wypowiedziano się przeciw dalszym, coraz to niewybredniejszym przesyłkom takich czy innych zbrodniarzy i otwarto kwitnące „Botaniczne Zatoki" tego przyszłego raju złota i wełny dla żądnych przygód i majątku emigrantów. Tak, że dziś, jakkolwiek większość mieszkańców stanowią Anglicy i Irlandczycy, przyczem na tych ostatnich przypadą 1/5 ludności, to jednak jakieś kilka procent wypadnie na innych mieszkańców Europy. Za tę oszałamiającą gościnność, praktykowaną przez Australję z niezwykłym, pełnym szlachetnego gestu rozmachem — zapłacili solidną współpracą gospodarczą i innowacjami, które na ten ląd przynieśli. Francuzi, Szwajcarzy i południowi Niemcy zaprowadzili uprawę winnej latorośli, Duńczycy — racjonalne metody mleczarstwa, Włosi — lepiej od Anglików znoszący tropikalny klimat passatowy, pracując w plantacjach trzciny cukrowej. Po wielkiej wojnie przybyli Grecy, Jugosłowianie i Albańczycy, zdarzają się także i Polacy, a głównie Żydzi, jak znany generał John Monash, dowodzący siłami zbrojnemi Australji w czasie wielkiej wojny.

Jest też 6000 Japończyków, trochę Hindusów i Afganów oraz tysiące półkrwi Azjatów, powstających dzięki brakowi przesądów rasowych u australskich białych kobiet, które nie zawahały się poślubić osobników o odmiennej skórze. Są to tylko drobne wysepki różnokolorowe w białem morzu anglosaskiem. Ma też Australja w swym pędzie do dobrobytu na sumieniu porywanie przemocą okolicznych wyspiarzy, by pracowali w klimacie nieodpowiednim dla Europejczyków, a gdzie żółtych sprowadzić było rzeczą niepożądaną ze względu na przyszłość. Spotkały ich straszne krzywdy, wysadzano ich na wrogich im wyspach, gdzie byli zabijani i pożerani z wielką pompą przez swych nieprzyjaciół — antropofagów, wreszcie kulturalniejsza opinja australska wypowiedziała się przeciw ich sprowadzaniu i gnębieniu.

Tubylcy, niezwykle ciekawi z antropologicznego punktu widzenia, jakkolwiek o niskiej lub prawie żadnej kulturze — zostali wytrzebieni, jeśli nie bronią w wojnie eksterminacyjnej, to przez choroby przyniesione przez Europejczyków, a śmiertelne dla czarnych. Spotkał ich los, jaki zgóry możemy przewidzieć, znając skądinąd przesławne podboje i wogóle ekspansję kulturalną.

Dziś jest ich zaledwie 60 tysięcy czystej krwi — a liczba ta wciąż się zmniejsza; przed przybyciem białych było ich do pół miljona. Natomiast gospodarczo Australja zakwitła, robiąc wiele eksperymentów i dokonywując gigantycznych prac na obszarze prawie równym Europie.



Powyżej: ...a oto jak dzisiaj wygląda olbrzymia stolica Australji, widziana z samolotu.

Na lewo: Ogólny widok portu w Sydney w r. 1808 (według współczesnego rysunku).

Dokończenie na str. 16-tej.

Wynalazki, które zostały na papierze



Projekt fruwającego zamku, który miał uświetnić wystawę światową w Antwerpji w 1894 r.

Wszystkie zdjęcia: Associated Correspondents Amsterdam

Przyzwyczailiśmy się uważać rzeczy nawet najbardziej nieprawdopodobne za mogące być łatwo urzeczywistnione: poprostu nie uznajemy rzeczy niemożliwych. Inaczej jednak sprawa przedstawiała się 50 lat temu, kiedy technika nie miała takiego co dzisiaj praktycznego oblicza. Ludzie byli wtedy bardziej romantyczni, łatwiej dawali się ponieść fantazji, to też ich wynalazki w wielu wypadkach pozostały na papierze, nie mogąc wcielić się w życie. Mimo to jednak im bardziej dany wynalazek był fantastyczny, tembardziej, rzecz prosta, zajmował umysły współczesne. I tak na przykład wielką sensację budził pomysł mechanika brukselskiego Tobiansky'ego, który obmyślił „zamek powietrzny", zbudowany z aluminjum i trzciny bambusowej. Olbrzymia ta budowla miała unosić się nad ziemią na kilkaset metrów w połączeniu z balonem na uwięzi. Specjalne windy miały ułatwiać komunikację z ziemią, w samym zaś pałacu mogło, jak zapewniał wynalazca, znajdować się 150 do 200 osób. W tej dziwacznej budowli miała się również znajdować restauracja z salami do tańca, a ceny miały stać w ścisłym związku z... wysokością, na której znajdował się zamek. Gdy zarzucano projektowi, że pierwsza burza zniszczyłaby całą budowlę, wynalazca twierdził, że w przeciągu pół godziny odpowiednie urządzenie ściągnęłoby całą budowlę na ziemię.

Gdy w r. 1889 wykończył inż. Eiffel swoją wieżę, która mimo olbrzymiej wysokości i ruchów oscylujących stała mocno na ziemi, również projekt Tobiansky'ego począł zyskiwać wiarę u ludzi. Powietrzny zamek dla 150 ludzi miał jeszcze bardziej, niż wieża Eiffla podkreślić pomysłowość ludzką. To też fruwający pałac przewidziany był jako „clou" światowej wystawy w Antwerpji w 1894 r. Niestety jednak projekt nie został nigdy zrealizowany.

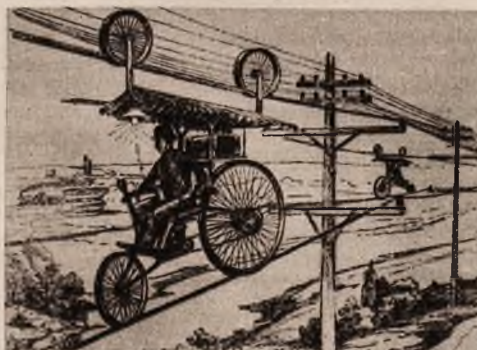
Jeżeli Tobiansky marzył o zdobyciu przestworzy, to dwóch westfalskich inżynierów, bracia Rettig, stawiło sobie za zadanie rozwiązanie zagadnień komunikacyjnych, które już wtedy dzięki dużej ilości omnibusów, dorożek i wszelkiego rodzaju tramwajów, stawało się bardzo groźne.

„Jednem z najaktualniejszych zagadnień" — twierdzili wynalazczy bracia — jest stworzenie odpowiednich środków komunikacyjnych, mogących zaspokoić wymagania szerokiej publiczności w dużych miastach". Bracia ci tworzą nowy system komunikacyjny, opierający się na następujących zasadach: trzy chodniki poruszające się każdy z inną szybkością, np. pierwszy z szybkością 5 km, drugi 10 km, trzeci 15 km miały ułatwiać pasażerom wejście do właściwej kolejki. Trzeci chodnik, t. j. sama kolejka, zaopatrzony w krzesła, był rodzajem taśmy, będącej ciągle w ruchu i przewożącej pasażerów. Posiadać miała szerokość wystarczającą jedynie na jedno siedzenie, jej długość zaś wynosiła 2 i pół metra. Platforma o szerokości 1 metra zaopatrzona była w chroniącą ją barjerę. Każda linja tramwajowa tworzy zamknięte koło, a wszelkie krzyżowania linji odpadają, natomiast ta pewna niedogodność miała być zastąpiona tem, że poszczególne linje, zbliżone do siebie, pozwalały pasażerom na przesiadanie się. Wobec tego, że pociągi te nie potrzebowały lokomotyw budowa ich mogła być odpowiednio tania, a szybkość ich znacznie miała przewyższać wszelkie omnibusy i konne tramwaje. Według zapewnień projektodawców tramwaje te mogłyby przewozić 12 tysięcy osób na godzinę.

Projekt spotkał się z pewnem zainteresowaniem w Ameryce i w Anglji, ale mimo to pozostał tylko fantazją, o której istnieniu świadczą jedynie rysunki w starych pismach, omawiających ten „epokowy" wynalazek.

Inaczej chciał rozwiązać zagadnienie komunikacyjne pewien amerykański inżynier. Otóż w okolicy Ontario prowadziła na pobliską górę kolejka, ciągniona przez muły. Skoro wagoniki z wielkim trudem wyciągane przez zmęczone muły stanęły na górze, wsadzano je do osobnego przedziału w wagonie i wagony kierowane jedynie siłą ciężkości zjeżdżały na dół. Wprawdzie zdarzały się nieraz przykre incydenty, gdy na przykład muły uciekły swojemu dozorcy i kolejka nie mogła rozpocząć swej podróży wzwyż, gdyż nie posiadano zapasowych mułów. Pomysł amerykańskiego inżyniera polegał na tem, aby do wagoników doczepić specjalny wagon-stajnię dla mułów, które drogę do miasta Ontario mogły odbywać w charakterze pasażerów. Jakkolwiek „wynalazek" ten nie był taki fenomenalny jak poprzedni, to jednak został wykonany i znalazł naśladowców.

A oto fantastyczny rower, który, według wynalazcy, miał jeździć po drutach telegraficznych!



Pewien niespokojny duch, będący inżynierem w Bostonie, zastanawiał się koło 1887 r. nad możliwie praktycznem wykorzystaniem drutów telegraficznych, które jakkolwiek spełniały swoją rolę jako przewody dla iskry elektrycznej, to jednak nie były, zdaniem jego, dosyć wykorzystane. Właśnie w tym czasie stały się zagadnienia komunikacyjne aktualnym tematem całej U. S. A.: bostoński wynalazca skonstruował oryginalny rower, który po silnym kablu, przeciągniętym na ramionach słupów telegraficznych mógł kursować po całych Stanach Zjednoczonych. Rower zaopatrzony był w górne koła, znajdujące się pod daszkiem, które zaopatrywać się miały w prąd elektryczny zapomocą drutów telegraficznych. Dolne i górne koła posiadały wręby, dostosowane do drutów, po których miały biec. Wynalazek ten wzbudził ogromną sensację w całej ówczesnej prasie i pomimo różnych debat na ten temat, projekt nie został zrealizowany, gdyż towarzystwa telegraficzne nie zgodziły się na użyczenie swoich linij tak fantastycznym projektom.

Również mały aparat fotograficzny, który można było nosić w kamizelce, w cylindrze, czy w jakiejkolwiek innej części garderoby, wzbudził wielkie zainteresowanie o tyle, że ten „minjaturowy" aparat przypominał raczej całe atelier fotograficzne, któreby nikt nic był zdolny nosić na sobie.

Oto jak wygląda kilka z tych fantastycznych pomysłów z niedalekiej stosunkowo przeszłości, które ledwo zrodzone w głowie wynalazcy wzbudzały wielkie zainteresowanie publiczności, by wkrótce potem popaść w niepamięć. Jedynymi świadkami też tych „epokowych" wynalazców są dzisiaj stare ryciny, które znajdujemy w tygodnikach, czy dziennikach z przed 50 lat.

Frédéric Chaudronnier.





Od lewej: Pomysłowa kolejka górska z „przedziałem" dla mułów budziła w okolicy Ontario wielką sensację w końcu ub. wieku. — Jednym z najbardziej frapujących projektów komunikacji XIX wieku były ruchome chodniki, poruszające się z szybkością 5, 10 i 15 kilometrów na godzinę.

KĄCIK
FILATELISTYCZNY

Od pewnego czasu notujemy znowu dużo nowości, a tylko słabą pociechą jest wiadomość, że kraj tak ulubiony przez filatelistów — Austrja — nie wyda już ani jednego nowego znaczka.

Wcielenie resztki dawnej monarchji naddunajskiej do „Trzeciej Rzeszy" jest niewątpliwie zdarzeniem najpierwszej wagi i w świecie znaczka pocztowego, gdyż dotychczas tamtejsze związki zbieraczy pracowały zupełnie odrębnie, a obecnie razem złączone stają się najsilniejszym tak liczbowo, jak i fachowo zgrupowaniem na całym świecie. Przewidujemy bardzo poważną zwyżkę cen wszystkich egzemplarzy znaczków austrjackich (zwłaszcza okolicznościowych), gdyż zawsze kraje „t. zw. zamknięte" czyli nie wydające już nowości, mogą być już w pewien sposób schematyczny kompletowane. Niewiadomo nam narazie czy pozostałe na poczcie zapasy będą przedrukowane („Deutsches Reich" czy „Deutschoesterreich), a możemy być tylko pewni, że Niemcy upamiętnią swój sukces polityczny nową serją.

Księstwo Liechtenstein uzupełnia swą bieżącą serję krajobrazową w żółwiem tempie, bo w 7-mym miesiącu po jej „narodzeniu" wzmogła się ona znowu o 2 dalsze wartości, tj. 30 rappen i 1.5 fr. Są to śliczne widoczki, a także ostatnie zapowiedziane sztuki za 60 i 90 rp. nie będą napewno brzydsze. Prawie cała już serja będzie także przedrukowana jako „Regieruns-Dienstsache". Naszem zdaniem „wysokie urzędy" miniaturowego księstwa mogłyby obejść się spokojnie bez specjalnych znaczków, ale zato ministerstwo tamtejszego skarbu musi sobie trochę podreperować kasę haraczem, który każdy zbieracz całej Europy opłacać musi. (Barwa 30 rp błękitna, -.5 f. szaro niebieska).

Bardzo piękne są również znaczki Gdańska z portretem Schopenhauera (1788—1860). Po raz pierwszy Wolne Miasto zastosowało heliograwurę i to w jakości najwyższej. Znaczek za 15 f. jest granatowy, za 25 — sepjowy, za 40 — czerwony. Format 25×35 mm. Nakład został już wysprzedany.

Dalsze znaczki Majej Ententy ukazały się już i w Grecji (6 drachm niebieski) i w Rumunji (7.5 lei ultramaryna i 10 l. niebieski). Czechy zaś emitowały doroczną serję na cele dobroczynne: „detem". Jest to jedyna jak dotychczas w swoim rodzaju serja, bo najwyższa wartość za 2 k, to blok w formacie 72×92 mm. Oby przykład ten nie pociągnął za zobą naśladowców, bo w ten sposób — wiele osób będzie musiało powiększyć swe albumy o nowe kartki na jeszcze większą ilość bloków. Ten właśnie blok jest niewielki i pierwszorzędnie wykonany — jest jednak tylko i „właśnie" blokiem. Wartości 50 (50) h. zielona, 1 K (50 h) karminowa, 2 K (3 K) szara.

W. H.

PRZEGLĄD PRASY. Wiadomości Filatelistyczne wydały ostatni numer w powiększonym formacie, który zawiera szereg oryginalnych artykułów. M. i. ciekawym jest list Związku Filatelistów w Toruniu do Redakcji „Wiadomości", demaskujący firmę Mielewczyk, jako wydawcę poradnika filatelistycznego w języku niemieckim w Berlinie. Broszurka ta ma raczej charakter germanistyczno-propagandowy!



Bloczek czechosłowacki z podobizną prezydenta Masaryka.



W górnym rzędzie: Najnowsze znaczki księstwa Liechtenstein. W drugim rzędzie trzy znaczki Wolnego Miasta Gdańska z podobizną filozofa Schopenhauera. W dolnym rzędzie: Znaczek czechosłowacki w pośrodku znaczków Ententy bałkańskiej.



Jej ostatnie słowa

NOWELA

WANDA DE RICHE

Spotykałem się z nim często w kawiarni, ale prawdę mówiąc, nie mógłbym powiedzieć, w jaki sposób poznaliśmy się bliżej. Zapewne dużą rolę odegrała tu ciekawość.

Ten elegancki, wytworny mężczyzna, o szpakowatych włosach i pięknej, inteligentnej twarzy, zwracał mimowoli uwagę. Kobietom podobały się jego oczy — smutne, wielkie, przepaściste. Płeć brzydka ceniła jego rozum, bezstronność w wygłaszaniu sądów i niechęć do krytykowania drugich. Był może zbyt nieprzystępny, zbyt zamknięty w sobie, ale ta cecha budziła właśnie zaufanie. I zaciekawienie... Ktokolwiek widział, jak ze złożonemi rękami siedzi w fotelu, jak przez godziny całe trwa z pochyloną głową nad stolikiem, obojętny na wszystko dokoła, musiał zainteresować się tym człowiekiem, o którym wiedzieliśmy to tylko, że jest oficerem rezerwy i że nie posiada żadnej bliższej rodziny.

W życiu każdego z nas są tajemnice, które zadecydowały kiedyś o pewnych czynach, postanowieniach, nawet całej przyszłości. Ilekroć spoglądałem na jego surową twarz, z wyrytem na niej piętnem głębokiego bólu, budziła się w mej duszy nieprzeparta chęć stwierdzenia, co było tajemnicą życia tego człowieka, który niekiedy robił wrażenie zupełnie umarłego dla świata. Dłuższa obserwacja i plotki, zbierane przez szereg tygodni, pouczyły mnie bowiem, że wszelkie jego poczynania cechuje zupełna obojętność, a nawet pogarda otoczenia. Był typowym mizantropem, jakkolwiek żadna z kobiet nie mogła skarżyć się na brak uprzejmości z jego strony.

Kiedy poznałem go bliżej i kiedy długie wieczory spędzaliśmy na rozmowie w kawiarni, poruszając najrozmaitsze tematy, na usta cisnęło mi się nieraz pytanie, czemu życie straciło dla niego wszelką wartość i czemu całą jego postać cechuje dziwny jakiś smutek. Ale upłynęło wiele czasu, zanim odważyłem się na ten przejaw niedyskrecji i zanim w pewien dżdżysty, ponury dzień październikowy udało mi się spojrzeć przez chwilę wgłąb tego serca.

Tyle pisano o miłości... Tyle pieśni śpiewano na cześć kochanej kobiety... Każdy z nas snuł złotą przędzę snów o szczęściu przy boku Wybranej i Uwielbianej... Nie wiem, czemu właśnie jego opowieść o uczuciu wielkiem, stałem i silniejszem od śmierci, przyprawiła mnie o tak wielkie wzruszenie. I czemu w głębi mej duszy zbudziło się wówczas jakby uczucie zazdrości o tego człowieka, który nic nie miał, niczego nie pożądał i dla którego wspomnienie o szczęściu straconem były jedyną treścią żywota.

Poznali się na balu i pokochali od pierwszego wejrzenia. Oboje byli młodzi, urodziwi, niezależni — ona pełna ufności, skłonna do marzeń, wrażliwa i uczuciowa, on nieco lekkomyślny, łatwo zapalny, ale szczery, prawy, pozbawiony cech snobizmu i zarozumiałości. Nawet zazdrośnicy twierdzili zgodnie, że są jakby dla siebie stworzeni. Należałoby wnosić, że miłość ich, która potężniała z każdą chwilą, skończy się rychłem małżeństwem. Ale stanęła temu na przeszkodzie drobnostka, która spowodowała, że oboje odłożyli termin ślubu na później.

Drobnostka! Możnaby rzec głupstwo, niegodne wzmianki. Chodziło o anonim, przesłany młodej kobiecie, a ułożony tak sprytnie, że wzbudził w niej pewne wątpliwości. Nieznany autor, czy też autorka jego zwracali uwagę na pewne cechy charakteru narzeczonego, które, ich zdaniem, nie wróżyły szczęścia temu małżeństwu. Ostrzegali, aby nie wiązała życia mężczyźnie, który nie nadaje się do trwałego związku, którego temperament i usposobienie czynią zgóry niewiernym mężem i który, wcześniej lub później, zdradzi ją z inną, działającą mu na zmysły pięknością.

Ktoś sceptyczniej usposobiony nie zastanawiałby się nad ostrzeżeniem tego rodzaju. Ale ona — nie będę wymieniał nazwiska, ani imienia — wzięła te „życzliwe" słowa do serca. Nie podejrzywała narzeczonego... Oh! Myśl podobna nie powstała w jej głowie!... Ale upojona szczęściem, pełna bezgranicznej miłości, zadowolona z obecnego stanu rzeczy, pragnęła przedłużyć okres tego „prowizorjum", w którem jest się tylko oblubienicą i kiedy niema mowy o obowiązkach, narzuconych przez los żonie i pani domu. On, dla którego wszelka myśl o zdradzie była obrazą i który zawarte w anonimowym liście ostrzeżenia uważał za uwłaczające jego wielkiej miłości, buntował się w głębi duszy i cierpiał... Może lękał się, aby w tym okresie, który dzieli „podniesienie do ust puharu" od jego „wychylenia" nie zaszło coś tragicznego. Może nie chciał kusić losu... A może w myśl dewizy, że szczęście trzeba chwytać, aby nie uciekło, pragnął jak najprędzej nazwać żoną tę, która wydawała mu się wcieleniem wszystkich cnót?...

Ludzie gardzą frazesami, a jednak żyć bez nich nie potrafią. Zapewnienia o wiecznej i stałej miłości są potrzebą każdej kochającej się pary. Niema mężczyzny, któryby pochlebstw ukochanej nie uważał za pożądane i niema kobiety, którąby nie upajała się słodkiemi słówkami kochanka. Zaklęcia i wyznania, świadczące o gorącem uczuciu nie były zatem czemś nienaturalnem i w tym związku, który opierał się narazie tylko na prawach „nie spisanych".

— Wiem, że umarłabym, gdybyś mnie przestał kochać! — powtarzała niejednokrotnie, spoglądając w błyszczące oczy narzeczonego. — Nie wyobrażam sobie życia bez ciebie. A gdybyś mnie zdradził...".

Uspakajał ją pocałunkami i zapewniał znów o swej wielkiej miłości. W godzinach, spędzanych razem, śnili ten piękny sen, dla którego zapomina się o wszystkiem na świecie. I żyli tylko sobą, tylko dla siebie.

Ale najszczęśliwszych dręczy niekiedy myśl, że szczęście swe mogą utracić. Nic też dziwnego, że w czasie tych długich miesięcy, które miały być, za ich wspólną zgodą, probierzem trwałości uczuć obojga, młoda kobieta lękała się rozczarowania. Wiedziała, że zawód przypłaciłaby życiem, a chciała żyć i kochać zawsze gorąco, niezmiennie.

— Pamiętaj! — rzekła znów pewnego wieczora, kiedy siedzieli przytuleni do siebie. — Umarłabym, gdybyś mnie zdradził. Umarłabym w chwili, w którejbyś zdeptał nasze wielkie, święte uczucie!... Bądź zawsze moim!... Nie mogłabym się tobą dzielić z nikim... nawet przez dzień, nawet przez godzinę!

Nie wątpię, że kochał ją gorąco i że wszelka myśl o zdradzie była mu wstrętną. Ale mimo wielokrotnych przysiąg i zaklęć, mimo najczulszych przyrzeczeń, nie mógł zwalczyć w niej demona nieufności... Nie mógł zniszczyć jadu, który wsączyły w jej duszę pełne obłudnej życzliwości słowa anonimu.

A czas płynął...

Doświadczenie uczy, że mały błąd, wypływający z zwyczajnej ludzkiej ułomności, paczy niekiedy najtroskliwiej układane plany, przekreśla całe lata starań i wysiłków. To, co w danym wypadku zadecydowało o katastrofie, odpowiada jednak tylko w części temu twierdzeniu. Nigdy może pojęcia winy i kary nie wydały mi się tak ściśle z sobą związane, jak wówczas, kiedy słuchałem opowieści tego człowieka, który łączył w niej skutki z przyczynami w sposób pozornie nielogiczny, a w każdym razie nie poparty żadnemi realnemi dowodami.

— Było to w drugim roku naszej znajomości — mówił głosem cichym, jakby stłumionym przez łzy. — Kończył się okres próby, która rozproszyć miała wątpliwości mojej narzeczonej. Serce me przepełniała wielka radość. Cieszyłem się, jak dziecko na chwilę, kiedy będę ją mógł publicznie przycisnąć do serca... Może jestem śmieszny i może moje pojęcia nie zgadzają się z duchem czasu i przekonaniem, że małżeństwo nie stanowi o szczęściu. Ale dążyłem do tego małżeństwa i pragnąłem go z całej duszy. Kochałem moją narzeczoną i byłbym z pewnością dla niej dobrym mężem. Dlatego nie umiem sobie poprostu wytłumaczyć, jak do tego przyszło... jak przyszło do grzechu przeciw niej, przeciw naszej miłości.

— Wyrażam się pretensjonalnie i zdaję sobie sprawę z moich... powiedzmy... staroświeckich zasad. Pojęcie wierności jest dla wielu mężczyzn względnem. Nie zdradzałem narzeczonej, to prawda, ale dlatego, że miłość ku niej pochłaniała mnie w zupełności, że wobec niej wszystkie kobiety wydawały mi się niegodnemi uwagi. W ciągłem idealizowaniu przedmiotu mej miłości, zapomniałem bowiem o całym świecie.

Pewnego ranka znalazłem się jednak w towarzystwie kilku kolegów na śniadaniu, wydanem z okazji imienin szefa naszego biura. Na śniadaniu były też trzy czy cztery kobiety. Jedna z nich, smagła brunetka, z płomiennemi, czarnemi oczyma, zwróciła na mnie uwagę i zupełnie niedwuznacznie dała mi do zrozumienia, że się jej bardzo... bardzo podobam. Siedzieliśmy razem przy stole, bawiliśmy się i rozmawiali. Zdaje się, że reszta zebranych była tak sobą zajęta, iż piękna nieznajoma mogła z całą swobodą poświęcić się mojej osobie.

— Uchodziłem zawsze za człowieka wesołego, pożądanego w towarzystwie i cieszyłem się, przyznaję, względami kobiet. — Mam wrażenie, że pod wpływem alkoholu zatraciłem poczucie rzeczywistości i że odezwała się we mnie natura zdobywczego mężczyzny. Nikt z obecnych nie wiedział, że mam narzeczoną i nie mógłbym również zarzucić tej kobiecie, że próbowała na mnie siły swych wdzięków dlatego, iż chciała mnie odbić innej. Ot, zbieg okoliczności! Mała awanturka miłosna, do której zazwyczaj nie przykłada się wagi! Możnaby to nazwać flirtem bez pretensyj i bez zobowiązań.

— Odprowadziłem ją do domu. W chwili, kiedy wyciągnąłem rękę na pożegnanie, przechyliła głowę, uśmiechając się zalotnie

— A może wstąpiłby pan do mnie na czarną kawę? — zapytała. Było coś w tym uśmiechu, coś w powłóczystem spojrzeniu jej czarnych oczu, że krew uderzyła mi do głowy. Poszedłem...

— Dalszy ciąg łatwo sobie dośpiewać. A jednak, powtarzam, do dzisiejszego dnia nie mogę zrozumieć, dlaczego... dlaczego to się stało. Powie pan: alkohol... młodość.. piękna kobieta... temperament... zmysły.. Ale jak mogłem zapomnieć, jak mogłem zapomnieć? Przecież kochałem tylko jedną... tylko tamtą...

— Widzę w pańskich oczach zdziwienie. Pan mnie nie rozumie. To nie była zwyczajna zdrada. To było przestępstwo!... Nie... nie... Proszę mi nie tłumaczyć. Proszę nie mówić, że tylu mężczyzn zdradza kochane przez siebie kobiety, że żałuje tego później

że przyznaje się do winy i otrzymuje przebaczenie... Otóż to!

— Kiedy wróciłem do domu i zdałem sobie sprawę z mego lekkomyślnego postępku, ogarnął mnie wstyd, palący wstyd. Czułem jeszcze na ustach płomienne pocałunki przygodnej znajomej, czułem jej dotknięcie... słyszałem słowa pieszczoty... a równocześnie w głębi mej duszy budziła się jakaś myśl straszna, obawa przed czemś, co było nieuchronnem następstwem mego... nazwę to po małomieszczańsku... mego grzechu.

— Nigdy nie zapomnę tych chwil udręki i lęku, które przyprawiały wprost o szaleństwo. Coś dławiło mnie za gardło, a serce ściskało się w piersi, jakby w przeczuciu nieszczęścia. Głowa pękała z bólu.. A przecież nie mogłem przypuszczać, że ktoś kolwiek wie o mojej przygodzie, że nie jest już ona tylko wspomnieniem.

— Mijała godzina za godziną. Siedziałem przy stole, bijąc się z myślami. Z każdą chwilą nabierałem przekonania, że stało się coś, czego odrobić nie potrafię, czego naprawić niepodobna. W ten sposób przetrwałem do godziny siódmej.

— Z nadejściem wieczoru niepokój mój wzrósł, gdyż była to pora, w której codziennie widywałem się z narzeczoną. Co jej mam powiedzieć. Czy jej mam coś powiedzieć?

Dla ludzi, którzy żyją kłamstwem, pytania takie są zapewne śmieszne. Ale dla mnie, którego dewizą była zawsze szczerość, myśl. że mógłbym ukrywać coś przed kobietą, którą kocham, była przestępstwem. I dlatego walczyłem z sobą, nie mogąc znaleźć wyjścia z sytuacji, która wydawała mi się katastrofalną.

— Nagle... Kiedy tak siedziałem, znękany i przygnębiony, odezwał się dzwonek telefonu. Zerwałem się na równe nogi. Zanim podniosłem słuchawkę, w i e d z i a ł e m już, że to była ona... że za kilka sekund usłyszę znów jej słodki głos, który przyprawiał mnie zawsze o dziwne drżenie.

— Podszedłem do stolika i ująłem w rękę słuchawkę. Powoli zbliżyłem ją do uszu.

— Hallo! — zawołałem, a nie otrzymawszy odpowiedzi, powtórzyłem wezwanie raz, drugi i trzeci.

— Przez chwilę panowało milczenie, a potem usłyszałem głos, j e j głos, ale tak cichy, tak stłumiony, że mógłbym go wziąć prawie za szept. Mówiła do mnie słowa, których miałem nigdy nie zapomnieć: „KOCHAM C I Ę... KOCHAM CIĘ... ZAWSZE CIĘ KOCHAM... KOCHAM!

— Szept zamarł. Zacząłem pytać o coś gorączkowo, gdyż intonacja tego głosu, jeśli można było mówić o intonacji, była tak dziwna, tak niezwykła, że przeniknął mnie dreszcz zgrozy. W słowach tych przebijała gorąca miłość, namiętność, której już tłumić nie mogła — a równocześnie i rozpacz... beznadziejna rozpacz oraz głęboki, nieutulony żal. Ale mimo zaklęć i błagania nie otrzymałem już żadnej odpowiedzi. Telefon milczał, a kiedy, sądząc, że rozmowa została przerwana, postarałem się o powtórne połączenie z mieszkaniem narzeczonej, na sygnał dzwonka nikt się już nie zgłosił.

— Podniecony, zdenerwowany i pełen obawy, postanowiłem udać się do niej. Wprawdzie onegdaj umówiliśmy się na schadzkę w sąsiedniej kawiarni, ale w danej sytuacji, kiedy nie mogłem zapanować nad swojem wzburzeniem i kiedy słowa, słyszane przez telefon, przyprawiły mnie, niewiadomo czemu, o paniczny strach, nie mogłem spokojnie czekać. Musiałem iść do niej... iść na spotkanie przeznaczenia, jakiemkolwiekby ono było.

— Przeznaczenie! Wiedziałem bowiem, że stało się coś, co zaważy na mojej przyszłości, chociaż nie umiałbym powiedzieć, czego się lękam. Rozmaite myśli przychodziły mi do głowy, kiedy biegłem przez ulice. Pozornie wydawaćby się mogło, że słowa, które słyszałem przez telefon, są tylko dowodem miłości, która trwa i ufa. Przecież to, co zaszło między mną, a tą obcą kobietą, było wyłącznie naszą tajemnicą! A jednak spieszyłem do narzeczonej w przeczuciu, że między nami już wszystko skończone.

— Niepokój mój wzrósł, kiedy na schodach, wiodących do dobrze mi znanego mieszkania, spotkałem się z młodą dziewczyną, która pełniła obowiązki jej służącej. „Gdzie pani?", zapytałem, wzburzony. „Czy jest w domu?". — „Nie wiem", odpowiedziała tonem niepewnym. „Prosiłam ją dziś o urlop na kilka godzin i wyszłam jeszcze przed południem. Nie mogę teraz dostać się do mieszkania. Widocznie niema tam nikogo...". — „Ależ przed chwilą telefonowała do mnie", rzekłem. „Jeśli jest chora...". — Może telefonowała z miasta. Wychodzi często wieczorami", tłumaczyła mi dziewczyna. Nie słuchałem jej. Instynkt mówił mi, że ona jest tam... za drzwiami... że tam być musi...

Wezwałem stróża, potem ślusarza i zaczęliśmy dobijać się do mieszkania. Służąca przyglądała się nam, zrazu zgorszona, potem coraz bardziej niespokojna. Stróż, któremu udzieliło się moje podniecenie, pomagał gorączkowo w otwarciu drzwi. Wreszcie rygle puściły.

— Wbiegłem do drugiego pokoju. Narzeczona moja leżała na kanapie bez ruchu. Jej piękne, złociste włosy opadły na blade czoło. Lewa dłoń spoczywała na piersiach, prawa ukryta była w fałdach sukni.

— Wezwany lekarz stwierdził, że śmierć nastąpiła przed sześciu godzinami, w czasie, kiedy bawiłem w mieszkaniu mej nowej znajomej...

— — — — — — — — — —

— I cóż mam jeszcze do powiedzenia? Orzeczenie lekarskie dowiodło niezbicie, że narzeczona moja n i e m o g ł a telefonować do mnie o siódmej, gdyż była wtedy już zimnym trupem. Ale ja wiem, że telefonowała... Poznałem jej głos i nie wątpię, że słyszane przeze mnie słowa szeptały jej martwe usta.

— Orzeczenie lekarskie dowodziło jednak i czegoś innego. Jeśli śmierć nastąpiła między pierwszą i drugą, w godzinie, w której ją zdradziłem, to za tę śmierć byłem tylko ja odpowiedzialny. I chociaż nikt nie wątpi, że przyczyną jej zgonu był atak serca, ja w i e m... że spełniły się słowa, które powtarzała w chwili szczęścia i upojenia: „Pamiętaj! Umarłabym, gdybyś zdeptał nasze wielkie, święte uczucie!... Nie mogłabym się tobą dzielić z nikim...".

— Bądź co bądź, czuję się winny. Jestem, jak przestępca, którego nie dosięgło ramię sprawiedliwości, a który upada pod brzemieniem swej zbrodni. Cóż mnie dziś obchodzą ludzie, ich dążenia i pragnienia? Ja sam niczego nie pragnę. Chyba tylko śmierci. Nie wątpię bowiem, że tam... na drugim świecie, spotkam się z nią znowu. Ta myśl dodaje mi otuchy. Z głębokiem rozrzewnieniem wspominam jej ostatnie słowa: „Kocham cię! Kocham! Zawsze cię kocham!...". Tak jest, wiem, że mnie kocha. I wiem, że mi przebaczyła. Jestem znękanym, zgorzkniałym, bezużytecznym człowiekiem, ale duszę mą przepełnia wielka radość, gdyż ona kocha mnie zawsze. A cóż mnie więcej obchodzi?

Dokończenie ze str. 5-ej.

W trakcie zakładania transkontynentalnych kabli telegraficznych, połączonego z bohaterskimi wyczynami i prawdziwem poświęceniem dla dobra drugich czy własnej ambicji — budowania wspaniałych dróg i imponujących mostów, przeskakiwania w szalonem tempie stopni rozwoju od wozu zaprzężonego w woły do własnego samochodu (1 na 14 mieszkańców!) i samolotu — znalazł się czas i na reformy społeczne, a raczej na postanowienia prawne, które przyszły odrazu nowe i możliwie doskonałe do tego kraju nowobogackich, dorabiających się łatwo praw i przywilejów, o które w starej skłóconej Europie wylewano rzeki krwi i atramentu. Niejeden tego rodzaju „katorżnik" za swój płomienny „społeczny" temperament i zamiłowanie do reform przeniesiony „bez bólu" do Australji znalazł po pewnym czasie możność zrealizowania swoich marzeń społecznych na większą skalę, niżby o tem kiedykolwiek odważył się pomyśleć. Ale zbyt łatwo urzeczywistniane marzenia wykoszlawiają czasem lub nawet unicestwiają to, co jest najpiękniejsze i najwrażliwsze w każdym bojowniku i marzycielu. Serca zaczęły zbyt szybko porastać tłuszczem i stara skorupka zapomniała wbrew przysłowiu, jaką biedą nasiąkła za młodu. Wyraża się to najjaśniej choćby w prawie, pozornie niezwykle liberalnem i pięknem, przyznającem każdej kobiecie, która urodziła dziecko 5 funtów szterlingów, nie musi ona być obywatelką australską, byle tylko tutaj miała zamiar osiąść na stałe. Wszystko aż dotąd w porządku — dzięki tej zapomodze nie musi wracać przedwcześnie do pracy i niszczyć zdrowia. Cóż, kiedy w tem prawie jest klauzula, która odsłania prawdziwe oblicze prawodawców: zasiłku tego nie może otrzymać kobieta pochodząca z Azji, ani czarna tubylcza Australka, choćby ojcem jej dziecka był biały. Tak — rasizm to namiętność, zasłaniający mózg i oczy.

Perfidny ukaz o poddawaniu egzaminowi w obcym języku każdego Azjaty, chcącego się dostać do Australji świadczy między innemi rzeczami i o tem, że przy dobrej woli zawsze znajdzie się język, w którym — o ile się nie jest poliglottą — nie napisze się wypracowania, wymaganego przez władców „próżni na Pacyfiku".

Japonja proponowała już uprzejmie i pokojowo otwarcie północnej Australji tropikalnej dla żółtych wzamian za pomoc swej floty w Dardanelach. Pełne oburzenia „nigdy" było odpowiedzią całej rasy anglo-saskiej. Incydent z frochusami i strzegącą ich flotyllą też dotknął mocno dumnych i ostatecznie mających do tego powody Japończyków. Dumny i głodny, ściśnięty zewsząd, a silny i ambitny — to bardzo niebezpieczny i nieobliczalny w skutkach nieprzyjaciel.

Później sprawa z wyspą Timorem, Bogu ducha winną, mało wartą, a kompletnie opuszczoną przez Portugalczyków, którą chcieli odkupić Japończycy z powodów dość przejrzystych, jeśli się zważy 500 km odległości tej wyspy od Australji. Anglja wydobyła pudy dokumentów, świadczących o długach portugalskich u niej i zabroniła sprzedaży oficjalnej, zorganizowawszy po tem wielki rajd powietrzny i uruchomiwszy stałą linję lotniczą Londyn—Melbourne w r. 1935 na znak, że w razie czego nie jest bezbronna — ona dumna i syta przedstawicielka rasy białej — niezłomna twierdza anglo-saska na Pacyfiku.

Byli jednak „biali" ludzie odważni, którzy za cenę swej niepopularności u pobratymców, odważyli się napomknąć, że oddanie Timoru czy nawet półn. Australji oszczędziłoby kiedyś rasie białej utraty i południowej Australji.

Nie wiadomo, co zrobi człowiek wiecznie głodny, patrząc na obficie zastawiony stół, na którym wszelkiego rodzaju rozkosze dla podniebienia gniją i rozpadają się niekonsumowane.

Może żółty książe zdobędzie śpiącego wśród różowych nenufarów nad brzegiem australijskiej rzeki kopciuszka. Egzotyczne dziewczątko zamieniło się w pozornie dobroduszną, opasłą jejmość i nie wiadomo jakie sentymenty i apetyty wzbudzi w rozszalałym i głodnym, bo żywiącym się skąpo ryżem i wątłą rybką japońskim księciu.

Vae victis.

Mgr Wanda Komorowska.

KRÓL WIOLONCZELISTÓW

PABLO CASALS O ZMIERZCHU WIRTUOZOSTWA



„Król wiolonczelistów" Pablo Casals w swej posiadłości San Salvador w Hiszpanji.
Fot. Grafinform.



Casals (na prawo) ze swym akompanjatorem pianistą Winterfeldem.



Tak wygląda bagaż słynnego wiolonczelisty.



Casals na estradzie podczas koncertu.

Jednym punkcie upodabnia się wiolonczela do pięknych dam naszej epoki: nie starzeje się i staje się smuklejszą i zgrabniejszą. Pierwotnie była wiolonczela instrumentem basowym (drugim basem w orkiestrze). Dopiero Włosi poprzez viologambę tworzą dzisiejszą formę wiolonczeli — jednakowoż jako instrument raczej drugoplanowy, bez wyraźnego własnego oblicza i indywidualnego zabarwienia. — Brak także początkowo muzyki specjalnie dla wiolonczeli pisanej. Dopiero Jan Sebastian Bach zrozumiał duszę i strukturę instrumentu tego i zaczyna tworzyć kompozycje na wiolonczelę, które jednak przekraczały możliwości odtwórcze ówczesnych mistrzów tego instrumentu i były dlatego mało grywane. — Genjalni muzycy epoki romantycznej i poromantycznej tj. Schumann i Brahms, dają wkońcu podstawowe dzieła, należące i dziś do żelaznego repertuaru każdego szanującego się czelisty.

Z biegiem czasu forma zewnętrzna wiolonczeli staje się drobniejsza. Instrument ten niejako smukleje, a zato literatura wiolonczelowa rośnie. Dziś mamy pokaźny zasób utworów nierzadko bardzo wartościowych, a pisanych specjalnie na ten instrument.

Ton wiolonczeli — niezwykle słodki — przypomina głos ludzki. Może on być łagodniejszy i jaśniejszy, a wówczas mówimy o wiolonczeli o zabarwieniu tenorowem, lub ciemniejszy, a wówczas mówimy o zabarwieniu barytonowem instrumentu. Wiolonczela, pochodząca z ręki mistrza Stradivariusa, będzie miała bezwątpienia inne cechy, niż instrument, zbudowany przez innego lutnistę; ton jednej i drugiej będzie zawsze odmiennie brzmiał, choćby ta sama ręka na obu instrumentach grała.

Casals sam używa instrumentu o tonie jasnym tenorowym, a gdy raz zmuszony był grać na innym, czuł się jakby w nieswojej skórze. Twierdzi on, że może słyszeć z oddali innego wiolonczelistę i nie widząc go, pozna, na jakim instrumencie gra. — Podobnie zresztą i każdy wybitny pianista wyczuje odrazu, czy gra ktoś np na Steinwayu czy na Bösendorferze. Instrument szlachetny ma niejako własną duszę, własne ja i tem różni się od innych pospolitych tworów, mających cechy roboty tuzinkowej, szablonowej. Ale nie należy wpadać tu w przesadę. Zbytnia bowiem indywidualizacja instrumentu wywołuje często wpływ hamujący na precyzję gry od twórczej koncertanta i wówczas zdarza się, że nie mistrz panuje nad instrumentem, lecz instrument panuje nad mistrzem. Sławny np. pianista Rachmaninoff chętniej używa na swych koncertach fortepianów Steinwaya niż Bösendorfera, bo choć oba mają równie piękny ton, to jednak Steinway łatwiej poddaje się jego pianistycznym wymogom.

Ale podobnie, jak instrumenty muzyczne tu wspomniane doznały wielkich przemian, tak też w ciągu upływu lat zmieniła się i publiczność. — Bezwątpienia wojna i troski dnia codziennego wpłynęły w dużej mierze na to, a również i rola nowoczesnych wynalazków (radjo). — Publiczność dzisiejsza jest inna, niż ta, która uczęszczała na koncerty przed wojną. Wymaga ona dziś od koncertanta prawdziwej sztuki. — Czasy, kiedy artysta mógł się popisywać wyłącznie techniką, minęły chyba bezpowrotnie. Technika jest dziś tylko środkiem, wiodącym do celu, nigdy zaś samym celem. Trudno też dziś wyobrazić sobie artystę, któryby np. koncert wiolonczelowy Haydna chciał oddać, podkreślając jedynie jego stronę czysto techniczną.

Doprowadzona do granic perfekcji, technika gry zdolna jest dzisiejszego słuchacza zainteresować jedynie na krótką metę, gdyż żadna ekwilibrystyka palcowa nie zasłoni ubóstwa duchowej interpretacji. Wirtuozostwo umarło, jako przeżytek minionej epoki.

Wielu było i jest takich artystów, których strona techniczna gry mogłaby ulegać pewnej dyskusji. A jednak artyści ci głębią swej interpretacji każą zapomnieć o pewnych niedomaganiach technicznych i uduchowioną swą grą trzymają w napięciu tysięczne rzesze słuchaczy. Sławny skrzypek

Flesch nie był wielkim technikiem, a jednak czarowi jego gry mało kto oprzeć się potrafił. Naodwrót gra Kubelika, poza efektownemi fajerwerkami wirtuozostwa, głębszych wrażeń nie pozostawiała. Bezwątpienia każdy artysta ma swój indywidualny sposób interpretacji danego utworu, często uwarunkowany fizycznemi właściwościami artysty. Siły fizyczne artysty, chwilowa dyspozycja psychiczna, układ ręki — wszystko to ma wybitny wpływ na interpretację, która raz może wypaść lepiej, drugi raz gorzej. Granic dobrego smaku, jakie wytyczyła kultura muzyczna naszego wieku, przekraczać nie wolno i publiczność ma prawo tego wymagać. Również i ostrożnym należy być w wyborze utworów, przeznaczonych do wykonania na koncercie.

Na wiolonczelę napisano w ostatnich kilkunastu latach wiele utworów. Dobre odróżnić od złych — ziarno od plewy — to zadanie prawdziwego muzyka, pojmującego sztukę swą poważnie.

* * *

Pablo Casals, autor powyższych uwag, należy do największych ze współczesnych wiolonczelistów świata. Urodzony 30 grudnia 1876, był drugim z rzędu synem organisty Carlo Casalsa w małem miasteczku Vendrell niedaleko Barcelony. — Mając już 4 lata, śpiewa w chórze kościelnym swego miasteczka i nierzadko podgląda ojca przy grze organowej. W dwa lata później komponuje i bardzo często gra w zastępstwie ojca na organach w czasie nabożeństwa kościelnego. Już jako światowej sławy artysta, odnawia ten kościółek i organy własnym sumptem. Będąc młodzieńcem, interesuje się wszystkiem, co miało łączność z muzyką. Początkowo grał na skrzypcach i podczas gry zamykał oczy. Z tej jego maniery żartowali towarzysze, mówiąc, że wygląda jak ślepy grajek uliczny, co wkońcu powoduje u niego niechęć do gry skrzypcowej. — Pewnego razu słyszy wśród przeciągającej trupy muzykantów czelistę i gra jego, aczkolwiek nader prymitywna i na gust wioskowej publiczności obliczona, wywiera nań wielkie wrażenie. Prosi ojca, by zezwolił mu uczyć się na tym instrumencie. Za zgodą ojca wyjeżdża Casals — wówczas chłopiec 11-letni — do Barcelony, gdzie zostaje uczniem sławnego wiolonczelisty, ówczesnego profesora tej gry w konserwatorjum muzycznem w Barcelonie, José Garcia.



Burmistrz Madrytu dekoruje Casalsa odznaką honorowego obywatela stolicy Hiszpanji (1935).

W Barcelonie nie popasał zbyt długo. Sam José Garcia wysyła go do Madrytu i tam Casals początkowo pobiera lekcje u koncertmistrza orkiestry królewskiej opery, Tomasza Bredon, a na utrzymanie zarabia przepisywaniem nut i grywaniem w zespołach kawiarnianych. Przypadkowo usłyszał go grającego sławny kompozytor hiszpański Albeniz i zwrócił uwagę na niepozornego młodzieńca, z pod palców którego płynęły czarodziejskie tony. Za pośrednictwem swego przyjaciela hr. Wilhelma Morfiego, uzyskał Albeniz dla młodego, nieznanego dotąd artysty stypendjum, które pozwoliło Casalsowi przez rok oddać się całkowicie swej sztuce bez oglądania się na konieczność codziennego zarobkowania.

Z Madrytu udaje się Casals na pierwsze koncerty zagranicę. Przynoszą one młodemu artyście srogie rozczarowanie. Gra w metropolji muzycznej świata Paryżu, potem w Brukseli. Sale na obu koncertach świecą pustkami, co tak deprymująco wpłynęło na artystę, że grał poniżej swej formy i krytyka wypadła blado. Ale dobry duch w postaci matki artysty, która mu akompanjowała na fortepianie, czuwał nad nim i nie dopuścił, by zwątpienie na stałe zadomowiło się w jego duszy. Casals udaje się teraz do Londynu i w tem, napozór chłodnem mieście, odnosi triumf, jakiego jeszcze w swem życiu nie zaznał. Odtąd pełne sale i nastrój gorączkowego wyczekiwania, towarzyszą każdemu jego występowi, czy to w Neapolu, Moskwie, czy w Paryżu. W międzyczasie odbywa tournée po Ameryce, Indjach, Australji, a honorarja jego osiągają niemal tę wysokość, co zarobki Carusa i Paderewskiego. — Casals komponuje również wiele utworów, jak miniatury skrzypcowe, kompozycję na wiolonczelę, pieśni, oratorjum „Miserere" i dzieło chóralne: „La Vision de Fray Martin" na orkiestrę, chór i organy.

Po powrocie do kraju, tworzy w Barcelonie własną orkiestrę symfoniczną i dyryguje jej koncertami, nie żałując pieniędzy na cele charytatywne, zwłaszcza na kształcenie młodych muzyków.

Jak każdy naprawdę wielki artysta, jest Casals w życiu codziennem prosty i szczery. Bywa przy tem miłym causerem w towarzystwie, choć nie lubi, aby go zapraszano wyłącznie dla walorów jego gry. — Pewnego razu, przebywając w Ameryce, został artysta zaproszony na przyjęcie do wielkiego bankiera nowojorskiego, który zdobył miljony dopiero podczas wojny. Gdy po kolacji gospodarz w sposób nie bardzo delikatny upominał się, by artysta coś zagrał, zrażony tem Casals odegrał krótką kompozycją i ze słowami: „dziękuję, już zapłaciłem" — opuścił dom mało kulturalnego finansisty. — Pewnego znów razu prosiła go mieszczka niemiecka w Hamburgu, gdzie koncertował, by ułatwił jej wolny wstęp dla muzykalnego synka, albowiem nie stać jej było na kupno drogich, jak zwykle na koncerty Casalsa biletów. Artysta dał jej bilety, za które mu serdecznie nazajutrz po koncercie podziękowała, mówiąc o olbrzymiem wrażeniu, jakie gra Casalsa na niej wywarła. Wrażenie to popsuł jej jedynie synek, którego widok Casalsa, pochylonego nad instrumentem i trzymającego smyczek w ręku, wkońcu tak znudził, że zapytał matkę: — Mamusiu, a kiedy ten pan przepiłuje tę skrzyneczkę?

Casals bywał dawniej nieraz gościem w Polsce, zawsze tu bardzo podziwiany. Ostatnio jednak przez dłuższy czas nie grał w naszym kraju. Wielka to szkoda! Dzisiejszej generacji młodszych muzyków naszych znany conajwyżej z nazwiska, byłby bezwątpienia triumfalnie witany, przyczyniając się swą genjalną grą do wzrostu zainteresowania u nas tym królewskim instrumentem.

A. M.



Casals jest wielkim przyjacielem dzieci — widzimy go na zdjęciu z bratankiem.



IV.

Ambasada brytyjska



Sala jadalna ambasady angielskiej w czasie przyjęcia dyplomatycznego. Z szczerozłotą zastawą harmonizują wspaniałe kryształy, nadając sali wysoce uroczysty i wytworny wygląd.



Salon recepcyjny utrzymany jest w stylu Ludwika XVI, a wspaniały gobelin i piękne portrety nadają mu charakter osiemnastowiecznego wykwintu.

WSZYSTKIE ZDJĘCIA: FOT. „AS"

Najbardziej centralnie ze wszystkich warszawskich placówek dyplomatycznych, bo w samem sercu stolicy, położony jest pałac ambasady brytyjskiej. — Przedstawicielstwo dyplomatyczne wielkiego Imperjum Brytyjskiego ulokowało się mianowicie w pałacu zbudowanym przez hr. Branickich w r. 1830 przy ul. Nowy Świat 18, róg Smolnej, przy zbiegu Al. Jerozolimskiej i Al. 3 Maja.

Jak cały pałac, tak i ta część jego umeblowania, która należy do hr. Branickich, jest utrzymana w stylu „régence". Obszerny hall prowadzi przez jasno-dębową klatkę schodową, wyłożoną niebieskim chodnikiem, o ścianach, ozdobionych mnóstwem portretów rodowych oraz starych kopij Greuze'a i innych mistrzów — na pierwsze piętro, gdzie mieszczą się salony recepcyjne oraz apartamenty prywatne rodziny ambasadora, którym jest obecnie sir Heward William Kennard.

Rozpoczniemy zwiedzanie salonów ambasady brytyjskiej od gabinetu pana ambasadora, w którym łączą się dwa style staroangielski i staro-włoski ze współczesnym angielskim. Pierwszy reprezentują biurko i, zwłaszcza stoliki, nader misternej roboty „Chippendale" ze starego mahoniu; orzechowe meble włoskie stoją dalej od biurka, bliżej zaś — nowsze angielskie fotele i kanapa. Ciekawe jest połączenie ornamentacyjne kominka ze śnieżno-białego alabastru. Górną część tworzy płaskorzeźba w stylu greckim, wyobrażająca 9 muz, po bokach zaś karjatydy zgoła... egipskie! Przed lustrem stary zegar i cenne złote świeczniki. Dywany chińskie, a obrazy — bardzo cenne szkół rozmaitych. Widzimy tu Cranacha, jest i Frans Hals. Są dwa portrety Stanisława hr. Potockiego i żony, oba pendzla Angeliki Kauffmann, założycielki Brytyjskiej Akademji Sztuk Pięknych. Z portretów fotograficznych, zadedykowanych panu ambasadorowi, wspomnieć wypada o podobiźnie Maharadży Kapurtali.

Bardzo piękne stare gobeliny wiszą w sąsiednim salonie recepcyjnym. Jeden z nich ma po obydwu stronach konterfekty Augusta Mocnego — dzieło Piotra Ferloni, przybyłego specjalnie w celu portretowania króla z Rzymu w r. 1726. Z drugiej strony znów gobelin nad kominkiem, ozdobionym cennym zegarem i świecznikami, misterny parawan z chińskiej skóry o oryginalnych malowidłach. Na środku — bardzo antyczny stolik włoski z jeszcze starszą serwetą, pochodzącą z XV w. Między tym stolikiem a kominkiem — nowszego rodzaju meble angielskie typu „Chesterfield" — kanapa, fotele i poduszki, obite błękitnym brokatem o kwietnych deseniach.



Buduar pani ambasadorowej, umeblowany jest praktycznie i skromnie.



Jego Ekscelencja ambasador Jego Królewskiej Brytyjskiej Mości sir Howard William Kennard w swoim gabinecie.

Przechodzimy z salonu do bibljoteki, gdzie szafka do książek i stoliki są w stylu „Chipuendale" (na jednym z nich cenny starochiński czajnik), przeważnie mahoniowe, takież biurko z t. zw. „knee-hole", czyli z otworem na kolana. Wyściełane meble są typu „Canné". Tuż wiele cennych obrazów, przeważnie holenderskich mistrzów; wśród nich jeden szczególnie cenny Ter Bock; nad drzwiami kunsztowna włoska „sopraporta", a na postumentach — moc cennych zadedykowanych fotografij, na których figurują m. i.: Król Szwecji Gustaw V, ks. Olga jugosłowiańska, szwedzki następca tronu i jego małżonka oraz ich córka ks. Ingrid — małżonka duńskiego następcy tronu, a także Ludwik ks. Mountbatten.

Zkolei przechodzimy do małego stołowego pokoju, w którym ambasador z rodziną jada, gdy nie ma u nich wielu gości lub gdy są sami. Cały pokój ma stare mahoniowe meble włoskiej roboty z końca XVIII w. i antyczne lustra włoskie w złotych ramach. Bardzo piękny jest stojący na konsolce srebrny samowarek do herbaty, pochodzący z Irlandji. Wyryty na nim herb angielski posiada dewizę: „Fidel je garderai". Tuż srebrne kociołki do duszenia kartofli na sposób irlandzki.

Wielka jadalnia zawiera stół z polskiego orzecha, angielskie dywany i takiż parawan

ze skóry, obrabianej na sposób hiszpański. Na ścianie wielkie portrety zmarłego króla Jerzego V i królowej Mary. Stół, oczywiście, bywa rozsuwany i może pomieścić do 36 osób. Szczególnie z okazji uroczystych przyjęć, jak np. ostatnio podczas obiadu na cześć sir Ronalda Storrsa potrawy są podawane na wspaniałym szczerozłotym serwisie sta rej daty. Serwis ten ma swoją historję. Był darem kupców angielskich dla gen. Beresforda za jego wydatny udział w odparciu najazdu napoleońskiego i pochodzi z końca XVIII w. Pozostał w rodzinie Beresfordów

Wejście do ambasady Wielkiej Brytanji od ulicy Nowy Świat.



do ostatnich czasów. Ostatni z Beresfordów, dyplomata brytyjski Beresford Hope, zmarły przed kilkunastu laty, zapisał ten serwis w testamencie „przyszłej ambasadzie brytyjskiej w Warszawie" (choć podówczas było jeszcze w Warszawie jedynie poselstwo). Tak oto ten serwis dotarł do Warszawy i jako nieprzemijająca własność am basady pozostanie tu na zawsze.

Zakończyliśmy na tem przegląd salonów ambasady, ale tym razem pozwolono nam dotrzeć jeszcze dalej. Pani ambasadorowa — lady Kennard — była tak łaskawą, że zechciała nas, z kolegą-fotografem, dopuścić do swych apartamentów prywatnych. Przechodzimy więc z gabinetu ambasadora do buduaru pani ambasadorowej, gdzie zwracają uwagę przedewszystkiem znów prześliczne stoliki „Chippendale", misterne foteliki „Duvet", wyściełane, jak i sofa, puszystym błękitnym welwetem. Bibljoteka — mahoniowa, obrazy — szkoły włoskiej, sekretarzyk angielski z nieodzowną „knee-hole", wyjątkowo piękny kominek z szarawego kamienia i połyskującą stalową ramą oraz sztachetkami. Antyczne lustro i świeczniki zdobią kominek.

Lady Kennard posuwa swoją uprzejmość dla „Asa" tak daleko, że pozwala nam spojrzeć okiem objektywu fotograficznego na swoją sypialnię. O, było też na co popatrzeć! Pani ambasadorowa pokazuje nam z dumą swe łoże z baldachimem i złotemi ozdobami u góry, które jest dokładną kopją łoża królowej Anny z Hampton Court Palace, całe z brokatu, specjalnie dla lady Kennard utkanego w Wenecji, o pięknym odcieniu lazuru, zwanego „lazurem Matki Boskiej" („azurro di Madonna"). Tuż przed łożem podłużny taburet z haftem ręcznej roboty samej pani ambasadorowej. W tym samym lazurze utrzymana jest toaleta. Ciemno-szara w białe żyłki oprawa kominka kryje w głębi rzeźbiony w żelazie herb hr. Branickich, jak zresztą, i wszystkie kominki w pałacu. Obrazy — szkoły włoskiej — wyobrażają naręcza kwiatów.

A oto krótkie dzieje brytyjskiego przedstawicielstwa dyplomatycznego w Warszawie. Pierwszym przedstawicielem dyplomatycznym, ale tylko z tytułem „komisarza", był sir Percy Wyndham, którego rzeczą było jedynie zorganizowanie placówki. Przybył do Warszawy 21 kwietnia 1919 r. a opuścił ją 30 września tegoż roku, idąc już na emeryturę. Po sześciu tygodniach, 15 listopada 1919, przybył do Warszawy jako pierwszy poseł nadzwyczajny i minister pełnomocny Wielkiej Brytanji w odrodzonej Polsce — sir Horace Rumbold. Sir Horace



Mały pokój jadalny, używany przez ambasadora i jego rodzinę na codzień.

był „Knight Commander" orderu „Michael and George" i „członkiem orderu Wiktorji". Sir Horace był później m. in. ambasadorem w Berlinie, wysokim komisarzem w Palestynie, obecnie jest na emeryturze.

Po dwuletniem urzędowaniu posła Rumbolda w Warszawie przybył do nas jako jego następca William Grenfell Max Müller, który wręczył swe listy uwierzytelniające dnia 31 stycznia 1921 r. — Poza wieloma innemi orderami posiadał on order — „Łaźni". Osobno warto pomówić obszerniej o jego małżonce. Lady Wanda Max Müller (Norweżka z pochodzenia — stąd imię Wanda, zasadniczo skandynawskie) była jedną z najbardziej uroczych pań warszawskiego korpusu dyplomatycznego. Była to prawdziwa przyjaciółka naszego kraju, w którym gościła przez siedem lat, a i dziś jeszcze pracuje owocnie na polu zbliżenia kulturalnego między naszemi narodami, jako prezeska Towarzystwa Angielsko-Polskiego w Londynie. Ujawniała zawsze bardzo wiele szczerego zainteresowania dla kultury i sztuki polskiej, przyjęcia jej — najwspanialsze, jakie pamięta warszawski korpus dyplomatyczny — uwzględniały zawsze najszersze warstwy społeczeństwa polskiego.

Następnym posłem brytyjskim w Warszawie był sir William Augustus Forbes Erskine, który wręczył swe listy uwierzytelniające najpierw dnia 10 stycznia 1928 r. jako poseł nadzwyczajny i minister pełnomocny, a po raz drugi dnia 6 listopada 1929 r., już jako pierwszy ambasador Wielkiej Brytanji w Polsce po podniesieniu poselstwa brytyjskiego w Warszawie do rangi ambasady. Był on również bardzo u nas lubiany, zarówno, jak jego małżonka oraz dwie przemiłe córeczki: miss Romola i miss Peggy Erskine, które wzrastały w naszej stolicy.

Obaj wspomniani dyplomaci zakończyli na Warszawie swoją karjerę dyplomatyczną, przechodząc na emeryturę. Obecnie od trzech lat ambasadorem brytyjskim w Warszawie jest sir Howard William Kennard, komandor orderu Wiktorji, który wręczył swe listy uwierzytelniające dnia 14 stycznia 1935 r. Zarówno sir Howard, jak jego pełna majestatycznej godności małżonka lady Kennard, umieją trafnie łączyć dostojność swej pozycji z ujmującą dobrotliwością i dostępnością. Są u nas wielce lubiani. Miejmy nadzieję, że długie lata jeszcze pozostaną w naszej stolicy.

H. L.

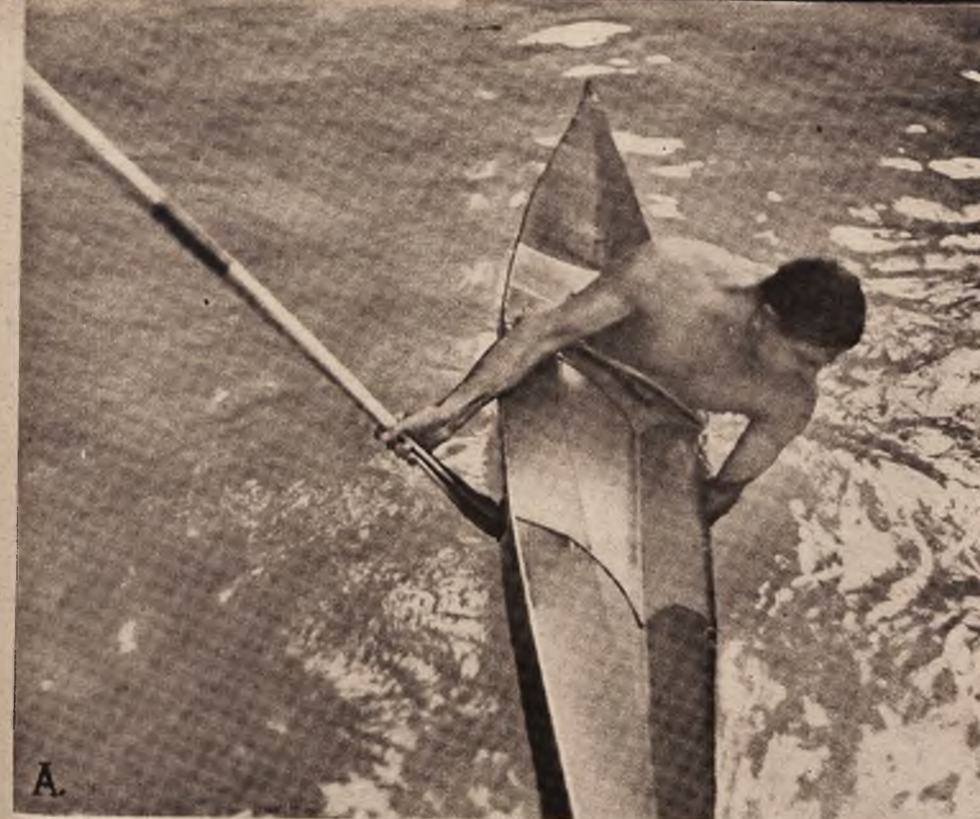


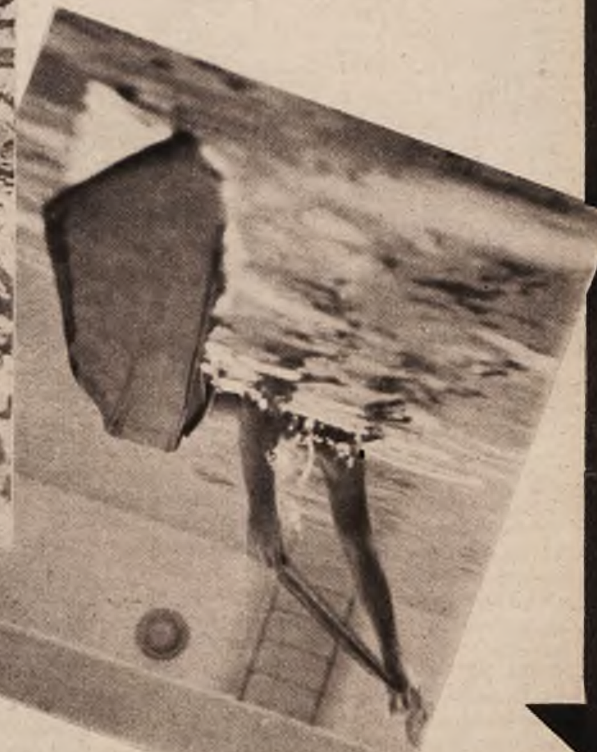
Fragment gabinetu ambasadora Kennarda.



Piękne łóżko z XVI wieku i piękne stare obrazy zdobią pokój sypialny.







Na zdjęciach widzimy poszczególne fragmenty salta kajakowca (t. zw. wywrotkę eskimoską), które rozpoczyna fotografja oznaczona literą A. Część zdjęć dokonano nad powierzchnią wody, a część pod wodą.

SALTO KAJAKOWCA

Ewolucja, której Eskimosów, mieszkańców dalekiej Północy nauczyły twarde warunki ich życia — stała się modną ewolucją sportową kajakowców. Zresztą to ćwiczenie, nie pozbawione praktycznego znaczenia, jako że i kajakowcowi-sportowcowi nieraz wydarzy się mniej lub więcej przyjemny wypadek wywrócenia się na wąskiej i chybotliwej łodzi.

Wokoło zamieszczamy fotografje, jak należy wykonać tego rodzaju ćwiczenie. Zdjęcia te oparte są na doświadczeniu Eskimosów w tej sprawie. Rozpoczynając więc u góry z prawej strony, a idąc w kierunku wskazówki zegara, widzimy kolejność poszczególnych faz ewolucyj, która w języku fachowców nazywa się „wywrotką eskimoską".

Ewolucję zaczyna się od włożenia wiosła pod spód kajaka. Pochylając się silnie w lewo, tracimy równowagę razem z ka em. Równocześnie należy przeciągnąć wiosło, op ając piórem o wodę tak, aby nie tracić kontaktu z dą i wiosłem, znajdując oparcie właśnie na wiośle. egulując szybkość obrotu mniejszym lub większym naciskiem na pióro wiosła, przechylamy się ku d wi tak, iż wreszcie dochodzimy do pozycji głową n dół.

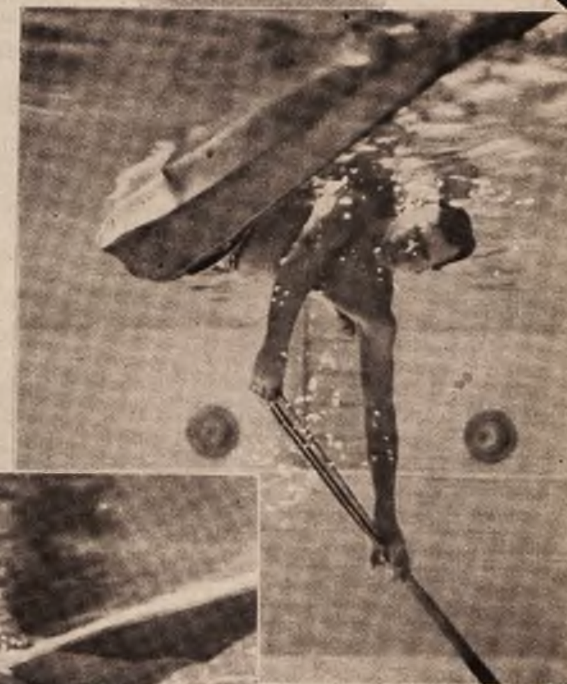
Jak narazie, ws tko to jest łatwe. Chodzi tylko o to, aby nie str kontroli nad swojemi ruchami i nie znaleźć się ytuacj, w której przestałoby się panować nad niem.

Kontynuując ob w lewo, opieramy wiosło o wodę i opierając się niem, staramy się powrócić do pozycji wyjściowej zecz prosta, ruchy wiosła muszą być energiczne k razy powtórzone, aby wprawić kajak w ruch ob wy.

Ćwiczenie to trwa kilka sekund, a jeśli ma się możność obserwowania tych, którzy już nauczyli się tej ewolucji,, to wydaje się nam, iż ćwiczenie jest proste i łatwe. W rzeczywistości nawet jest ono takiem, chodzi tylko o to, aby całość była wykonana w tempie i z pełną swobodą. Dla wyjaśnienia dodajemy, że kajakowiec musi być opięty ściśle t. zw. falochronem tak, aby woda nie mogła się przy wywrotce dostać do środka. W przeciwnym bowiem wypadku waga łodzi z wodą byłaby zbyt wielka i wioślarz nie zdołałby jej obrócić do poprzedniego stanu.

Opisane ćwiczenie jest bardzo lubiane przez kajakowców. W piękny pogodny dzień można nieraz na rzekach, jeziorach czy zatokach morskich obserwować dziesiątki kajakowców, wykonujących tę ewolucję.

Nie radzimy zaczynać ćwiczeń tej ewolucji już obecnie: należy poczekać na ciepły maj i czerwiec...



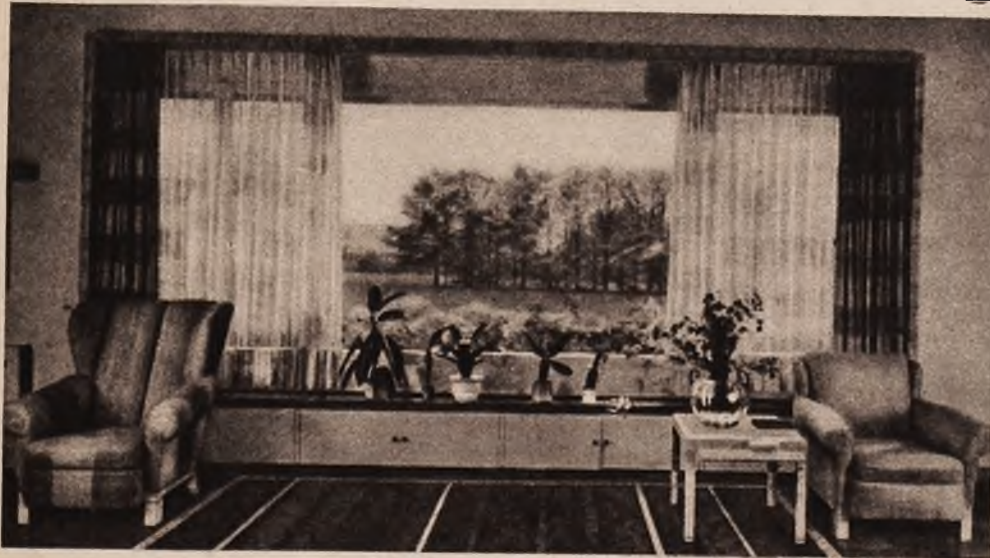








ZIELONA DEKORACJA WNĘTRZ



Rośliny na parapecie okiennym stanowią łącznik między wnętrzem pokoju a otaczającym dom ogrodem.

Tak nowoczesne umeblowanie i urządzenie wnętrz, zmieniło do niepoznania wygląd nawet najprzeciętniejszych domów mieszkalnych, tak i rola roślin doniczkowych uległa zupełnemu przewartościowaniu i to w kierunku wybitnie korzystnym, tak dla nich samych, jako też ze względów estetycznych. Dawne przeładowanie okien bezmyślnie ustawianemi wazonikami ustąpiło miejsca rozsądnej gospodarce w państwie domowej Flory. Nie ilość, lecz jakość, jest pierwszym nakazem do spełnienia. Kilka zdrowo i ładnie utrzymanych doniczek zajęło miejsce okupowane dotąd przez rosnące samopas rośliny, których gąszcz nie dopuszczał nieraz światła do pokojów mieszkalnych. Ale zato tych kilka roślin sprawia właścicielowi czy właścicielce znacznie więcej przyjemności, jeżeli dostarczy się im tego wszystkiego, czego do swego rozwoju potrzebują. Stworzenie odpowiednich warunków roślinom doniczkowym warunkuje ich pomyślny wzrost i zdrowy wygląd, a te w dekoracji wnętrz stanowią pozycję niezwykłej wagi.

Są tacy, którzy powiadają, że każdy pokój wymaga innej rośliny. Ale racjonalniejszem będzie inne ustosunkowanie się do tej sprawy. Każda roślina podnosi urok pokoju, w którym się znajduje.

I pod tym kątem widzenia należy dobierać kwiaty doniczkowe do swego mieszkan' W danych warunkach nie każda roślina otrzymałaby odpowiednie dla niej środowisko i nasłonecznienie, bez którego rozwój jej nie byłby do pomyślenia. Dobór roślin według oświetlenia okien jest pierwszym obowiązkiem miłośnika kwiatów. Najlepiej udaje się przeważna ilość roślin w oknach południowo-wschodnich i południowo-zachodnich. Okna czysto południowe wymagają cieniowania doniczek czy nawet i roślin, gdyż zbytnia insolacja powoduje przypalenie najmłodszych korzeni, położonych najbliżej doniczki lub też nadmierne parowanie zielnych części, również dla wegetacji niebezpieczne. Najmniej korzystne położenie okien, a więc od strony północnej nadaje się tylko dla pewnych odmian roślin doniczkowych, jak Aspidistra (Żelazne liście), Sanseviera, paproci, jak Asplenium viviparum, fikusów, dacern, aralji, filodendronów i typowych roślin miejsc cienistych — bluszczów.

Z wiosną, kiedy w każdego z nas wstępują nowe siły życiowe, tworzymy wiele projektów i pora ta najczęściej sprzyja pomysłom dokonywania zmian w mieszkaniu. Wśród nich rodzą się uczucia tęsknoty za przyrodą i chęć posiadania żywych roślin bodaj na parapecie okiennym.



Nawet dwie doniczki z palmą i fikusem zdobią pokój.



Modne półki, służące do ustawiania doniczek z kwiatami.

W większych pokojach prześlicznie wyglądają czy to kosze na kwiaty, czy specjalne stoliki, których wielkie ilości form zachęcają do wyboru. Równie zachęcająco przedstawiają się minjaturowe półeczki, do zawieszania na oknach. Podobne efekty uzyskać można przez wieszanie w środku ramy okiennej wazonów okrągłych z roślinami ampułkowemi, zwieszającemi wdzięcznie wiotkie pędy i łodyżki kwiecia. Specjalnie nadają się w tym celu asparagusy, jak Asparagus Sprengeri, Linaria cymgallaria lub Lysimachia nummularia. Jedną z najpiękniejszych roślin tego rodzaju, która zresztą wogóle w stojącej i pełnej doniczce róśćby nie mogła, to storczyk tygrysi (Stanhopea tygrinum), dla którego doniczkę skleca się z listewek drewnianych ażurowo łączonych, albowiem wypuszcza on z niej dołem pączki swego wspaniałego kwiecia.

Storczyki, podobnie jak i kaktusy, mają w krajach zachodnich swych niezliczonych wielbicieli, którzy jednoczą się w związki miłośników tych kwiatów, hodując wyszukane ich odmiany i wspomagając się wzajemnie radami i sadzonkami czy nasionami swych ulubieńców. U nas rozmiłowanie w kwiatach nie osiągnęło jeszcze takich wyżyn, niemniej rozpowszechnienie kaktusów coraz bardziej wzrasta. Egzotyzm tych roślin i fantastyczne kształty pędów, jakże odmiennych od naszej rodzimej flory, sprawiają, iż rola ich w dekoracji wnętrz stała się przodującą. Dla nich to stawia się owe minjaturowe półeczki już nietylko na oknach, ale i na stolikach w pobliżu okien, gdzie w doniczkach, o niemal naparstkowych wymiarach, wznoszą swe kolczaste lub osypane delikatnym puchem główki. Cóż za radość staje się udziałem właściciela, kiedy z powykręcanych śmiesznie pędów, z pałkowatych maczug czy głowiastych pędów, wykwitają potem barwne, wspaniałe kielichy kwiatu o delikatnym rysunku kielicha i jeszcze delikatniejszej woni i karnacji...

Kwitnie w ten sposób na oknach obok panoszących się kaktusów i wiele innych roślin, zasługujących na uwagę. Czy będą to amaryllisy lub agapantusy o wysmukłych pałkach, na których wznoszą się dumne kwiaty kształtu od lilji zapożyczonego, czy delikatne ,jak skrzydełka motyla, pelargonje angielskie lub cięższe, lecz bardzo wdzięczne begonje w wielu odmianach, każdy z tych kwiatów ma swe walory odrębne i koło własnych wielbicieli. Jedni wolą sztywność liścia palmy, inni krzewy o listkach przypominających rośliny drzewiaste, jak Hibiscus, czyli róża chińska, obsypująca się kwiatami przez całe lato, lub lipka pokojowa, dorastająca w dobrych warunkach pokaźnych rozmiarów pokojowego drzewka. W domach, gdzie są jak powiadano dawniej, panny na wydaniu, nie można się było obejść bez mirtu. Jego misterne i delikatne kwiatuszki stanowią dumę właścicielek, bo rzadko kiedy obsypuje się tym zwiewnym puchem. Ale gdy zakwitnie — wesele w tym samym roku pewne...

Moda na mirty przeszła, jak przeszła i zmienia się w stosunku do rozmaitych roślin. Wśród nich zaginął — a szkoda — woskowiec o sztywnych, woskowych listkach, kwitnący aksamitnemi kwiatuszkami, niby niezapominajka. Kolorów niebieskich najmniej stosunkowo produkuje świat roślinny, warto byłoby więc wprowadzić znów do łask ten sympatyczny kwiat, jak i inne

pozostające niesłusznie w cieniu. Każda zdrowa, silnie krzewiąca się roślina doniczkowa jest wartościową inwestycją domową.

Aby jednak rośliny wieść mogły żywot pełen zdrowia i krasy, potrzebują prócz dobrego, właściwego im oświetlenia życiodajnemi promieniami słońca, także i właściwej jej ziemi. Oto zestawienie jej rodzajów dla najpowszechniej hodowanych roślin doniczkowych.

Amarylis, asparagus, begonja, fikus, hibiscus (róża chińska) pelargonje, lipka pokojowa, Tradescancja: 3 części ziemi inspektowej, 2 cz. liściowej i 1 część piasku. Pożądany dodatek wiórek rogowych, 5—10 gr na litr ziemi oraz szczególnie dla pelargonji: wapna.

Aralja, Aspidistra, dracena, fuksje, mirty i oleandry: 4 cz. z. inspektowej, 1 cz. z. gnojowej, 1 cz. piasku.

Lak, złocień, woskowiec i kliwia: 3 cz. z. darniowej, 1 cz. z. gnojowej, 1 cz. piasku.

Bluszcz, petunja, filodendron: 1 cz. z. inspektowej i 1 cz. z. darniowej.

Araukarja, kamelja: 1 cz. z. liściowej, 1 cz. z. wrzosowej.

Palmy: 2 cz. z. inspektowej, 1 cz. z. darniowej, 1 cz. z. wrzosowej lub liściowej i 1 cz. piasku. Dla młodych palm: 2 cz. z. liściowej i 1 cz. z. inspektowej.

Kaktusy i tłustosze: 1 cz. starej ziemi inspektowej, 1 cz. z. darniowej, 1 cz. z. liściowej lub wrzosowej, 1 cz. zwietrzałej gliny, 1 cz. piasku, nieco rozbitego na miał starego tynku i trochę drobno pokruszonego węgla drzewnego.

Kaktusy t. zw. liściaste: 3 cz. z. liściowej, 1 cz. z. inspektowej, 1 cz. piasku, nieco zwietrzałej gliny i starego tynku.

Podane rodzaje ziemi doniczkowej posiadają wszystkie zakłady ogrodnicze, więc dostarczenie odpowiedniej ziemi roślinom nie przedstawia większych trudności.

J. H.

Maski Don Juana



Na lewo: Strój z początku XIX w. dodawał wyglądowi ówczesnych mężczyzn dużo wytworności.

Poruszanie kwestji miłości powinno być dozwolone jedynie wielkim poetom, lub ludziom zakochanym, wszyscy inni za każdy artykuł napisany na ten temat powinni być deportowani na Wyspy Djabelskie! Nie chodzi o moralność lub o te czy inne względy, ale o to, że nadużyto już znacznie tego tematu.

A jednak...

A jednak jesteśmy zmuszeni raz jeszcze o tem pomówić. Chodzi nam o charakterystyczne typy donżuanów, występujące w różnych postaciach na przestrzeni wieków.

Jeżeli będziemy się starać o charakteryzowanie typu mężczyzny, który w swoim czasie „zapracował" sobie na określenie donżuana, to należałoby wziąć pod uwagę zarówno wrodzone mężczyźnie strony charakteru, jak również przyjrzenie się charakterowi kobiety pod kątem widzenia: „Co najbardziej podoba się u mężczyzny kobietom?"

Przeglądając niezmiernie bogatą galerję donżuanów z różnych czasów ,spotkaliśmy się z wieloma ciekawymi typami. Na pierwszem miejscu oczywiście znajdziemy bohatera: imponuje on swą siłą, swą odwagą, swym rozmachem, lekceważeniem własnego życia, pewną brutalnością nie pozbawioną jednak w pewnych momentach zdolności podzielania miłosnych uczuć kobiety. Ale również typy wręcz przeciwne zdołały zdobyć tytuł lowelasa, zawodowego „homme à femmes": wymuskani, wypudrowani, wyperfumowani i z tem wszystkiem oczywiście przesadni kawalerowie XVIII w. w typie Casanovy, czy Chevalier des Grieux, czy też ks. de Lauzun. Chociaż byli zniewieściali, lubowali się w miękkim trybie życia, to jednak i u nich dostrzec można pewne momenty bohaterskości, conajmniej bufonerji i fanfaronady. Ludzie, żyjący z dnia na dzień, przerzucający się z jednej roli w drugą, lekceważący ludzkie i boskie przykazania zdołają również imponować kobietom. Wkońcu przychodzi dla nas dzisiaj niezrozumiały typ „incloyables'ów", którzy, smutni epigoni tamtych pokoleń czarują swoją egzotycznością, swoim „trującym czarem". Panowie ci, których głowy tonęły nieraz do połowy ust w fantastycznych halsztukach i muślinach, udawali w dodatku, zgodnie z dobrym tonem epoki, kulawych, ślepych lub garbatych. Nosili olbrzymie sękate laski, jakby trudno im było chodzić, używali szkiełek, udając krótkowzrocznych, jednem słowem starali się wszelkiemi sposobami zrobić ze siebie pokraki, które dzisiaj budziłbyby ogólny smutek, lub ogólną wesołość. A jednak i oni znajdowali gorąco dla siebie bijące serca i oni słyszeli zapewnienia wiecznej miłości i mili byli niewieścim oczom.

Na lewo: **Jeden z współczesnych donżuanów filmowych — Robert Donat w roli hrabiego Monte Cristo.**



Nie koniec na tem: przyszła epoka, której granice moglibyśmy określić dwoma nazwiskami, tj. René de Chateaubriand, autora „Genjuszu Chrystjanizmu", z drugiej zaś Alfreda Sue, autora poczytnych, nieco awanturniczych i, — jakbyśmy dziś powiedzieli — detektywistycznych romansów, czyli epoka Restauracji aż po czasy Ludwika Filipa. Wtedy to wraz z odżywającym pod piórem szkockiego barda Waltera Scotta i Gordona Noela Byrona każdy „szanujący się" zdobywca serc kobiecych powinien był odznaczać się bladością oblicza, lekceważeniem wymagań elegancji i niedbałym strojem, w oczach jego powinna była malować się rozpacz i jakaś nieokreślona tęsknota, a cała postać musiała być owiana jakimś nieziemskim romantyzmem. Jakkolwiek wielki genjusz Zygmunta Krasińskiego stawiał go ponad śmiesznostkami innych ludzi, to jednak, przypuszczać należy, ten właśnie typ urody najbardziej mógł mu być bliski i bodaj czy, za młodych lat, nie charakteryzował zewnętrznie wieszcza.



Król August II, zwany Mocnym, był bohaterem niezliczonych przygód miłosnych.

Oto kilka typów donżuanów z przeszłości: gdybyśmy chcieli przytoczyć kilka nazwisk, konkretyzujących je, wymienilibyśmy przy typie rokokowym króla „Louis le Bienaimé" — Ludwika XV, Augusta II Sasa, Stanisława Augusta, wspominając tylko tych najbardziej znanych, a pomijając tysiące poważnych „firm", których wszystkich trudno przytoczyć. Druga epoka była zbyt krótka, aby mogło w niej powstać wiele ciekawych typów tego rodzaju, natomiast trzecia epoka mogła poszczycić się takimi donżuanami, jak Alfred de Musset, hr. d'Orsay, lor-

dem Byronem, Eugenjuszem Sue i wieloma innymi.

Wszystkie te pojęcia zmieniły się gruntownie, jeżeli chodzi o poglądy kobiet na postać donżuana — wiek XIX i początek XX wcisnął typ donżuana w dosyć, jak na nasze dzisiejsze pojęcia, śmieszne ramy i śmieszne stroje. Ci panowie w melonikach, w marynarkach zbyt krótkich i ciasnych, w spodniach, rysujących sylwetkę w sposób groteskowy, ci wszyscy oficerowie pruscy, austrjaccy, francuscy w monoklach, pięknych mundurach, powłóczący szabelką mają w sobie jakieś pierwiastki „przejściowe". Ni pies ni wydra, — możnaby o nich powiedzieć, oglądając ich w perspektywie kilkudziesięciu lat, wtedy jednak budzili zachwyt u kobiet, tak, jak znowu męska część rodu ludzkiego zachwycała się tancerkami, tańczącemi kankana w jakimś paryskim „Moulin Rouge". Przeszedłszy przez te różne inkarnacje, typ donżuana krystalizował się w XX wieku nieco odmiennie. Oczywiście, że i teraz momenty bohaterskie grają swoją rolę; typ to w każdym razie zupełnie niepodobny do poprzednich szablonów. Na wytworzenie się współczesnego donżuana duży wpływ wywarł film, który przecież jest nie tylko informatorem, ale też inspiratorem szerokich mas.



Imię donżuana zyskał sobie ostatni król Polski — Stanisław August.





„Boski" Valentino przewyższył wszystkich swych kolegów kinowych w sukcesach u płci pięknej.

Na lewo: Zdobywca serc kobiecych w końcu XIX wieku niczem nie przypomina dzisiejszych donżuanów.

Jakichż więc donżuanów dał nam film współczesny? Zasadniczo możnaby odróżnić dwie kategorje: bohaterskich, gwałtownych, odważnych, sportowych — z jednej strony, wytwornych, finezyjnych, dominujących umysłem nad stroną fizyczną z drugiej strony. Do pierwszych zaliczymy Ronalda Colmana, Douglasa Fairbanksa itd. Do drugiej kategorji należeli Harry Liedke, Rudolf Valentino, obecnie Adolf Menjou, Jean Murat itd. Różnica rzeczywiście olbrzymia: widać z tego, że pomimo rozpowszechnienia kultu siły, sportów itd., kobiety mimo wszystko umieją cenić walory, jak inteligencją, dobre wychowanie, wytworność, a nie tylko mięśnie i sprawność fizyczną.

Jak widzimy z tego pobieżnego przeglądu w typie donżuana dominują w każdej epoce te cechy, które, dzięki układowi społecznemu i okolicznościom ubocznym, nabierają w życiu społeczeństwa specjalnego waloru. Gdy w pewnej chwili polityka państw europejskich, mających dosyć wojny inspirowała się pokojem i w nim upatrywała zbawienie, to kierunek ten, niewątpliwie romantyczny, odbił się też na typie ówczesnego donżuana, przyoblekającego odpowiednią postać. Dzisiejszy rozwój sportów i kult dzielności i „self-made-man'ostwa" również przepoił współczesnego donżuana swą doktryną.

Niektórzy psycholodzy twierdzą, że u wielu ludzi donżuanerja idzie w parze z wybitnym rozwojem wszelkich sił żywotnych, a więc energją, inteligencją itd. Wskazują przytem na przykłady wyjęte z historji, tj. na Henryka IV, Ludwika XIV, Goethego, Musseta itd. Twierdzenie to jest jednak jednostronne, gdyż bardzo wielu wybitnych pod każdym względem ludzi nie poświęcało więcej uwagi sprawom miłości. Jednym z najlepszych przykładów jest choćby Napoleon I, który nigdy nie był donżuanem, a dla kobiet, które kiedyś kochał, zachował do śmierci nieco romantyczne — zawodowy donżuan powiedziałby naiwne — uczucie. Zagadnienie więc: „czy donżuanerja stanowi objaw towarzyszący wybitnym zdolnościom?" — nie jest tak proste i wymagałoby drobnostkowego rozbioru.

Wszystko to bardzo ładnie i psychologicznie zrozumiałe, a nawet logiczne, ale...

Ale istnieje bardzo ciekawa i wysoce pouczająca książka Bourgeta p. t. „Psychologie de l'amour" na temat miłości, w której autor na podstawie pilnie zbieranych danych wykazuje, iż największe powodzenie u kobiet i największymi donżuanami są ludzie przeciętni, o małej inteligencji, pospolici i wogóle nie ciekawi. Tę przykrą „pigułkę" zachowałem na koniec, aby odebrać poprzednim rozumowaniom trochę romantyzmu, którego w życiu tak mało, gdyż rządzi się ono, zwłaszcza w zakresie miłości i donżuanerji, jakiemiś swoistemi prawidłami. Może przyjdzie jakiś wielki uczony w rodzaju Roentgena, czy Curie-Skłodowskiej, któremu uda się prześwietlić kobietę i stwierdzić, co właściwie i w jakiej postaci najlepiej jej się podoba...

J. G. M.



Adolf Menjou stworzył nowy i odrębny typ donżuana.



Na lewo: Wielki uwodziciel XVIII w. Giacomo Casanova de Seingalt (1725—1798).



Nocna przygoda w gospodzie w połowie XIX w.



SEX-APPEAL

Flirt przeszedł w miłość... Se
rozkosz i radość wiosny wcia
potem rozstanie — i wspomn

Z TEKI MUZYCZNEJ „ASA"

Tango

ALEKSANDER FRĄCZKIEWICZ

1.

2.

Coda.

D.S. al ⊕ poi la Coda.

NOWELA

TAJEMNICZY JEŹDZIEC

JOHN MAC GREGOR

Pewnej wiosny, wśród wietrznej nocy, siedziałem około płonącego ogniska na rozległych polach marokańskich, rozmawiając z przypadkowo napotkanym turystą.

— Ach — rzekł mój towarzysz, wyjmując z ust swą fajeczkę — pustynia jest, mojem zdaniem, najdziwniejszym tworem w naturze, podobnie jak kobieta jest najdziwniejszem stworzeniem... Ale jak się spotkają razem: kobieta i pustynia — wtenczas — wielki Boże!... — Przerwał, spoglądając na mnie badawczo.

— Widział pan kiedy Saharę? — spytał. Odpowiedziałem twierdząco. — Zapewne widział pan Biskrę, oazę Sidi Obka i tym podobne — dodał — ale ja znam Saharę nawskróś, i tam słyszałem o dziwnem zdarzeniu, a co dziwniejsze, żem w nie uwierzył...

Był zawołanym myśliwym, więc sądziłem, że idzie mu o nadzwyczajne zdarzenie myśliwskie, odparłem:

— Jakaś niezwykła historja z gazelą — prawda? Nie — z kobietą — odparł.

Mówił jeszcze, gdy z cieniów nocy wyłonił się posługujący nam Marokańczyk i dorzucił do ognia pęk suchych trzcin. Płomień strzelił wysoko wgórę, i w jego blasku dojrzałem zmienioną nieco twarz mego towarzysza. Twarde jego rysy złagodniały... może pod wpływem nagłego wspomnienia, gdy strącając zlekka popiół z swojej fajki, począł swą opowieść:

— Tak, była to kobieta pełna uroku — czystej krwi Paryżanka — czarna, porywająca piękność — mająca w sobie coś demonicznego, lecz i anielskiego zarazem... Ale opowiem panu wszystko pokolei. Otóż, kilka lat temu, owa Paryżanka, wraz ze swą siostrą i szwagrem, znudzeni Paryżem, postanowili odbyć daleką zamorską podróż, — zaczynając od Afryki, od kolonij marokańskich. Pierwszym przystankiem ich podróży był Algier, dokąd zawitali w cudne słoneczne południe. Algier ze swemi tarasami, białemi willami wśród palmowych ogrodów i... swymi spahisami. Właśnie obchodzono w mieście jakąś wielką uroczystość i wszystkie pułki afrykańskie były zmobilizowane. Gubernator przejeżdżał przez miasto w swej karecie, poprzedzany oddziałem 16 spahisów. W swych zawojach na głowie, powłóczystych arabskich strojach, na pysznych koniach, po mistrzowsku ujeżdżonych — stanowili widok wspaniały. Przejeżdżali pod balkonem, na którym znajdowali się moi Francuzi, chcący się przyjrzeć pochodowi. Panna Irena wysunęła się na przód ganku, w zachwycie przyglądając się jeździe spahisów. Trzymała w ręku pęk kwitnących róż i garść tych kwiatów cisnęła na przejeżdżających. Konie skoczyły spłoszone. Jeden z spahisów, smukły, wysoki chłopak, o błyszczących oczach orła pustyni, podniósł wgórę głowę... Trzy róże spadły na niego... Wzrok jego spotkał się z cudnemi oczami Ireny wpatrzonemi w niego. Uśmiech przeleciał po jego ustach, odsłaniając lśniące białe zęby...

— Boże, jakież on ma białe zęby! — zawołała Irena. Wokoło niej zebrani poczęli się śmiać z jej zachwytu. Ale spahis spojrzał na nią — tym razem bez śmiechu... Irena cofnęła się gwałtownie wtył.

Niedługo potem wyruszyli w stronę Sahary. Pan zna ten widok: zieloną oazę Biskry, tworzącą jakby cień na tem morzu piasków — w oddali góry, przybierające tony ciemnego brązu, a dalej jeszcze płaskie, bezmierne przestworza pustyni, zdające się rozciągać aż do końca świata, trwające niezmiennie aż do dnia sądu ostatecznego.

Towarzysz mój umilkł, wpatrując się pilnie w płonący ogień, jakoby widząc wśród tych drew rozżarzonych karawanę Francuzów, posuwającą się zwolna wśród piasków pustyni.

Wreszcie chwycił z ognia rozpalone drewienko, przyłożył żar do swej fajki i ciągnąc kłęby dymu zwrócił się znów do mnie.

— Pan zapewne widział zjawisko pustyni t. zw. fata morganę! — zapytał. — Tak jest — odparłem.

— I zauważył pan zapewne — ciągnął dalej — że te zjawiska zwykle występują w kilka naraz? — rzekł obojętnie. — Obojętne, czy tu chodzi o ludzi czy o drzewa, czy domy — czyż nie tak?

— Ale czy widział pan kiedy fata morganę jednej jedynie osoby? Po chwili namysłu odpowiedziałem mu przecząco. Milczał przez chwilę — poczem rzekł:

— Ale Irena zobaczyła taką fata morganę! Było to pod wieczór, zaraz pierwszego dnia ich wyprawy. Ich dragoman Tahar jechał przodem na swym mule — gdy nagle ściągnął cugle i wskazując ręką ku północnej stronie odległego horyzontu, zawołał: Patrzcie w dal pustyni, a ujrzycie fata morganę Sahary!

Spojrzeli wszyscy w stronę wskazaną im przez Tahara, ale, podczas gdy wszyscy ujrzeli poza palmami oazy Sidi Okba dziwne zjawisko cudnych ogrodów i domów nad brzegami jezior, zarysowanych wyraźnie w tajemniczej mgle oddalenia — Irena zawołała głośno: — To nie fata morgana, to jest żywa zjawa! Co pani widzi? — spytał szybko Tahar.

— Widzę — szeptała — wśród piasków pustyni jadącego człowieka, Araba. Tak, Araba, pędzi konno w kierunku Sidi Okba — pędzi coraz szybciej, szybciej, oglądając się za siebie, jakby się lękał pogoni... Przez siodło zprzodu ma przewieszony ciężar.... nie poznaję jaki, nie widzę dobrze, pędzi jak wicher... teraz, znikł mi z oczu.

Zwróciła się do tamtych pytająco, ale oni nie widzieli tego zjawiska.

— Gdy wieczór zapadł i cienie nocy otoczyły ich obóz, Irena, śpiąc w swym namiocie — widziała oczyma wyobraźni w snach swoich, magiczną postać Araba z koniem, mknącego w dal przez piaski Sahary i mgły fata morgany, wraz z swym tajemniczym ciężarem....

I gdy następnego dnia rano mała karawana ruszyła w dalszą drogę, dziwny lęk ogarnął Irenę, jakby strach przed tą wielką niepojętą tajemnicą, która zdaje się tkwić wiecznie w łonie pustyni... Milcząca i smutna jechała wśród swych wesołych towarzyszy, z nieodstępującym od niej teraz Taharem. Słońce tymczasem gasło powoli, a wkoło nich rozciągały się jednostajnie bezmierne przestrzenie piasków pustyni... Nagle Tahar znów wskazał rysujące się w oddali fata morganę. I znów wszyscy ujrzeli palmową oazę nad wodą — tylko Irena zbladła i natężając wzrok patrzała przed siebie.. Co pani widzi? — spytał głośno Tahar.

— Widzę jadącego Araba — podobnie jak wczoraj — ale dużo wyraźniej, rozróżniam niemal rysy jego twarzy... Widzę... — zatrzymała się chwilę, cała drżąca... suknię kobiecą... goni jak wicher... ucieka... Ach mój Boże!.... Patrzyła wdal nieruchomo — nagle przymknęła oczy.

— Ireno — zawołała jej siostra — oszalałaś chyba widząc ciągle w fata morgana pustyni zjawy, których niema, których nikt nie widzi!

Ale ona spojrzała tylko w twarz stojącego obok Tahara...

On zaś rzekł poważnie: — Ona widzi tylko to, co widzieć musi. Pustynia Sahary mówi do jej serca... Tej nocy księżyc świecił jasno na niebie. Srebrne jego smugi, wsuwające się przez szczeliny namiotu, oświeciły wąskie polowe łóżko, na którem spała Irena. I w tych jasnych promieniach zdawało się, jakoby ujrzała znów tajemniczą postać arabskiego jeźdźca...

Nie mogąc spać, wstała i wyszła przed próg namiotu. I jak marynarz, stojący na przedzie swego statku, ogarnia wzrokiem otaczające go morze — tak i jej wzrok spoczął na tem morzu otaczających ją piasków, zalanych teraz księżycowym blaskiem. Wśród ciszy nocy dolatywały ją zdaleka wycia szakali, jakby krzyki demonów pustyni...

I myśl nagła powstała w jej głowie — czy teraz wśród tej nocy, mogłaby ujrzeć fata morganę? I gdy tak stała pogrążona w myślach, ujrzała zdala wśród białego piasku unoszący się obłok, przejrzysty, srebrny, migający światłem w blasku księżyca... A z tego obłoku wyłoniła się smukła postać konnego jeźdźca....

Pędził przed siebie, jak opętaniec — lecz teraz w świetle księżyca jasno go widziała... Koń jego pianą okryty, gonił jak wicher, on zaś wciąż przynaglał go jeszcze, oglądając się wciąż poza siebie. I widziała teraz, iż ciężar zwisający mu na siodle, ciężar, który w ramionach unosił i tulił, był postacią kobiecą.

Słyszała niemal uderzenia kopyt końskich, zbliżających się ku niej w szalonym pędzie... I teraz twarz jeźdźca dojrzała wyraźnie: czarne, świecące oczy orła pustyni — oczy śmiało patrzące nawet w pełnię blasku afrykańskiego słońca! — Dojrzała — i z tłumionym okrzykiem rzuciła się w tył ku płóciennym ścianom namiotu... bo twarz tajemniczego jeźdźca fata morgany — była twarzą spahisa, któremu rzuciła róże.

W tej chwili fata morgana rozwiała się przed jej oczyma, znikł tajemniczy arabski jeździec i zcichł odgłos kopyt końskich, a natomiast ujrzała przed sobą twarz Tahara. Oczy jego świeciły w blasku księżyca.

— Czy Pani widzi fata morganę? — szepnął. Głos jej uwiądł w gardle, oczy rozszerzone przestrachem patrzały w błyszczące, w nią utkwione oczy Tahara. Przysunął się do niej. Czy to był znów ten jeździec? — zapytał szeptem. — Skłoniła głowę w milczeniu. Wszystko wokoło niej wydało się widziadłem sennem, nawet głos Tahara dochodził do niej jakby z oddali.

— To jest przeznaczenie — rzekł, wpatrując się w nią badawczo...

W tej samej chwili napół przytomna osunęła się w jego ramiona.

Nim zaszedł księżyc, poprzez pustynne piaski, oblane białem światłem miesiąca, pędził jeździec arabski, unosząc w swych objęciach omdlałą postać kobiecą... Ale w jej uszach poprzez noc całą brzmiał dźwięk kopyt końskich, uderzających o piasek Sahary...

Mój towarzysz umilkł... Oczy nasze spotkały się... — To był ów spahis?... — szepnąłem. Tak, spahis, który wrócił, by ze sobą zabrać dawczynię róż... a dzisiaj jest szczęśliwą żoną owego arabskiego jeźdźca, i siedząc przed swym białym namiotem, wygląda co wieczór jego powrotu, gdy, jak niegdyś w fata morganie, pędzi ku niej konno poprzez pustynne piaski, unosząc na swem siodle zwisający ciężar gazeli... A teraz, czy nie mam słuszności, twierdząc, że kobieta jest najdziwniejszem stworzeniem w naturze ludzkiej?!!

Tłóm. M. M.

ODMŁODZENIE WUJA DAGOBERTA

★

NOWELA

P. FABRIZIUS

Moi państwo, opowiem Wam o największym wynalazku naszego wieku. Wielu lekarzy i uczonych zajmowało się tem mniej lub więcej bezowocnie, ale memu wujowi Dagobertowi udało się to naprawdę. Jest to odmłodzenie ludzkości! Żadna operacja, żadna droga kuracja, całkiem zwyczajny biały proszek. Połyka się go zupełnie zwyczajnie, w smaku jest nawet zupełnie przyjemny i przez jedną noc można się odmłodzić o dowolną ilość lat.

Wuj Dagobert wypróbował to na własnem ciele w siedemdziesiątą rocznicę swego życia. Siedział przed lustrem i przyglądał się swej zapadniętej, pomarszczonej twarzy, rzadkim włosom, drżącym rękom. Może powinien się był odżywiać Jogurtem, albo prowadzić bezsolną dietę. Zastanawiał się, czy jest jeszcze jakaś część jego ciała, któraby go nie bolała. Nie znalazł żadnej. Jego dzieci i wnuki zapomniały o nim. Nikt nie zadeklamował mu żadnego wierszyka na urodziny. Byłby go nawet nie zrozumiał, tak źle słyszał. Siedemdziesiąt lat to był jednak wstrętny wiek. Na szczęście posiadał swój proszek, wielki wynalazek swego życia. Zależało tylko od jego woli, w jakim chciał być wieku. Pięćdziesiąt lat wydawało mu się całkiem przyjemnym wiekiem. — Odrachował odpowiednią ilość proszku włożył z namaszczeniem do ust i popił roztworem mięty.

Następnego dnia zbudził się odświeżony i z dużym apetytem. Gdy sobie przypomniał o swem odmłodzeniu, wyskoczył z łóżka i pospieszył do lustra, do którego musiał bliżej podejść, niż wczoraj, gdyż jego dalekі wzrok z sześciu diopryj spadł na dwie. Obraz, który zobaczył, był zdumiewający. Włosy, które przed paru godzinami były jeszcze siwe i rzadkie, były obecnie ciemne i obficie pokrywały głowę. — Zniknęły zmarszczki, jak również rozmaite dolegliwości. Ostrożnie podniósł prawe ramię i potrząsnął niem. Nie poczuł bólów. Nie odnalazł również nagniotka na małym palcu u lewej nogi. Uradowany, żwawo chodził po pokoju, odnajdując coraz to nowe zmiany w sobie. Szeroko otworzył usta i witał z rozczuleniem ząb, który mu wyrwał dentysta, gdy miał lat pięćdziesiąt siedem.

Następne dnie minęły, jakby w odurzeniu. Jadł i pił, co mu smakowało, palił, ile miał ochoty, asystował młodym dziewczętom, spędzał wieczory w barach i teatrach. Głupią tylko była okoliczność, że musiał chodzić do biura. Wobec nocnych hulanek, była to ciężka służba. Po krótkiem zastanowieniu się, podał się do emerytury, aby życia używać w całej pełni. Pokazało się jednak, że to nie była nadzwyczajna myśl. — Poza tem, że pozostawało mu mniej pieniędzy, nie wiedział, co z czasem zrobić. Kobiety śmiały się z niego ironicznie i sprawiały mu same zawody... Musiał się ograniczać w jedzeniu, piciu, flircie. Naturalnie, że w wieku lat siedemdziesięciu musiał się tego wszystkiego wyrzekać.

Ostatecznie doszedł do przekonania, że pięćdziesięcioletni mężczyzna jest najwięcej pożałowania godną istotą na ziemi. Ale na szczęście miał swój proszek. Powróciwszy pewnego wieczora z zawianą głową i zepsutym żołądkiem, rozpuścił w szklance szampańskiego wina z jakie dwadzieścia lat i wychylił ją do dna na swoje zdrowie.

Przebudzenie było wspaniałe. Jeszcze wspanialszym był widok w lustrze młodocianej postaci mężczyzny. Zniknęły nawet ostatnie pozostałości krótkowidzenia. Wuj Dagobert wypił z przyjemnością filiżankę kawy, wypalił potem ciężkie cygaro i z przyjemnością zauważył, że młode dziewczęta odwracały się za nim na ulicy. Wieczory spędzał bez trudu w nocnych lokalach, zaś następnego dnia wykonywał śpiewająco swoją pracę w biurze. Podczas swoich czynności cieszył się na okres, kiedy będzie zbierał owoce swej twórczości w postaci dostatniej emerytury, czczony i poważany w gronie swych dzieci i wnuków.

Trzydzieści lat jest najpiękniejszym wiekiem dla mężczyzny — było to zdanie ogółu. Było zatem zupełnie zrozumiałem, że Dagobert został wciągnięty przez rodzinę w niemiłe lub wysiłku potrzebujące interesy. Musiał z wierzycielami układać się po śmierci wuja Ferdynanda. Z powodu jego nagłej śmierci był zmuszonym przygotować ostrożnie wdowę do tej smutnej wieści i załatwić wszystkie formalności pogrzebowe. Nieprzyjemnem było też, że Dagobert był w wieku, właściwym do zawarcia małżeństwa. Jak mógł, tak chronił się przed zastawionemi sidłami i powikłaniami, ale los sprawił, że ożenił się z Fryderyką, która okazała się w małżeństwie rozrzutną i kłótliwą, wkońcu przyzwyczaił się już do jej charakteru.

Tęsknił za życiem bez kobiet i odpowiedzialności; a był człowiekiem, który mógł sobie stworzyć jeszcze raz dziecięce życie bez troski. Po cichu więc zażył porcję proszku, przedstawiającą dwadzieścia lat, zmieszał w szklance whisky i wypił.

Życie dziesięcioletniego chłopca jest rozkoszą. Nie miał żony ani teściowej, roboty w biurze i nieporozumienia z krewnymi. Już samo uczucie, że mógł wylecieć na ulicę bez potrzeby golenia się, było dla Dagoberta wielkiem świętem. Na dworze czekały go stale nowe dziwy i radości. Gra w piłkę nożną w parku, przełażenie przez druty kolczaste, tanie jazdy tramwajem na dziecięcą kartę ulgową, bicie dziewczynek ze świadomością, że się to później na nim odbije, możliwość obrażania wszystkich ludzi wedle własnej ochoty i bez obawy kary sądowej, to wszystko jest tylko małem wyliczeniem rozkoszy dziesięcioletniego chłopca.

Odwrotną stroną medalu jest szkoła. Czy można coś więcej powiedzieć? Palenie naturalnie wzbronione! Nie wolno też tańczyć ani uczęszczać do kina. Niegrzecznym być też nie wolno, jest się na to za dużym i za rozsądnym. O 9-tej trzeba iść spać. Wogóle wszystko, co cieszy, jest zakazane.

Gdy miał się nauczyć napamięć długiego wierszyka z okazji urodzin dziadka, postanowił pożegnać się i z tym wiekiem. Tym razem obliczył dokładnie porcję białego proszku, który połknął, rozpuściwszy go w lemoniadzie. Następnego dnia rano był wreszcie w idealnym wieku, jaki człowiek osiąga. Wuj Dagobert leżał w kołysce. Ach, czuł się jak nowonarodzony! Owinięty, leżał wygodnie i nie potrzebował się o nic troszczyć, otrzymywał swoje pożywienie, ubierano go i rozbierano i mógł spać cały dzień. Był ośrodkiem zainteresowania, a wszyscy ludzie rozweselali się na jego widok. Każdy jego szczebiot wprawiał w podziw wszystkich obecnych.

Niemiłem tylko była jednostajność jego pożywienia. Mleko i znowu mleko! — Wuj Dagobert tęsknił za filiżanką czarnej kawy. Ale nie mógł się zupełnie poruszać, zawiązany i owinięty leżał jak paczka. Nie do wytrzymania były też te ciągłe pochwały dorosłych. Przybliżali do niego swoje olbrzymie twarze i gadali jak idjoci. Dlaczego nazywali n. p. mleko „mli mli“, a tego pana z brodą „bu bu“. Oto stali dorośli naokoło Dagoberta, włożyli mu we włosy jakąś śmieszną, blado niebieską wstążeczkę, dotykali jego brzuszka i mówili: „da da“, a on nie mógł przeciwko temu zareagować.

Więc wuj zaczął rozmyślać nad swem przeszłem życiem i doszedł do przekonania, że tęsknota ludzkości za dobremi staremi czasami jest tylko miłą pomyłką, gdyż okazują się dobremi wtedy tylko, gdy już przeszły. W pamięci zachowuje się tylko to, co było piękne, o złej stronie zapomina się. Zrozumiał, że każdy wiek ma swoje odpowiednie dla siebie cierpienia i radości, a czyni się dzieciństwu zrozumiałą niesprawiedliwość, gdy się je beztrosko chwali.

Te filozoficzne życiowo rozmyślania podnieciły do tego stopnia wuja Daboberta, leżącego w kołysce, że zaczął serdecznie wrzeszczeć. Gdy się rozejrzał, członkowie rodziny stali jeszcze ciągle koło kołyski, tylko że on nie leżał już w kołysce, ale siedział w dużym fotelu, a mały wnuczek mówił grzecznie wierszyk z okazji ukończenia jego siedemdziesięciu lat.

Stary domowy lekarz Dr Siebel pochylił się nad nim.

— Nic nadzwyczajnego, trochę przespaliśmy się. Cóż to za biały proszek, którego ja wcale nie zaordynowałem? — mówiąc te słowa, pudełko z proszkiem, owoc całego życia Wuja Dagoberta, wrzucił do wiaderka.

Tłóm. A. S.



Kolor żółty nowym akcentem!



Już zeszłoroczna moda dążyła do ożywienia ubrań męskich, zalecając większą różnorodność kolorów i zezwalając na wprowadzanie silniejszych kontrastów. Aby Czytelnikom naszych „Łamigłówek" ułatwić to trudne zadanie, zamieszczaliśmy parokrotnie odpowiednie tabele, w których zestawialiśmy poszczególne części garderoby z zaznaczeniem barw i rodzajów materjałów. Obecnie przychodzi nam zanotować pojawienie się koloru żółtego jako dominującego akcentu w tegorocznej modzie męskiej, przyczem w grę wchodzą już nie same szale czy chusty, ale i krawaty długie i motylki, kamizelki włóczkowe i sukienne, rękawiczki, a nawet pończochy. Swego rodzaju sensację stanowić będzie żółty odcień materjałów i kapeluszy.

Brummel

PORANNA GIMNASTYKA



Ćwiczenie pierwsze.

Dzisiejsza lekcja gimnastyczna ma na celu wzmocnienie mięśni ramion i pleców. Podajemy dwa ćwiczenia, które konsekwentnie wykonywane przynoszą organizmowi doskonały pożytek.

Ćwiczenie I. Stajemy prosto, opierając się mocno nogami o podłogę, aby mieć pewność równowagi korpusu. Wyprężamy ramiona wgórę i następnie lekko ku tyłowi, przyczem napinamy wprzód miednicę, naprężając mocno muskuły odnóży. W tej pozycji — jak na rycinie — wykonujemy ramionami ruch wahadłowy ku tyłowi, uginając również głowę, uważamy jednak na to, aby nogi pozostały silnie wyprężone. Następnie czynimy ruch odwrotny, t. j. pochylamy całe ciało ku przodowi, aż dotkniemy rękami podłogi. Znowu unosimy górną część tułowia i powtarzamy ruch wahadłowy ku tyłowi. Ćwiczenie to wykonujemy dziesięć razy.

Ćwiczenie II. Siadamy na ziemi po turecku (ryc. 2), wyprężamy ramiona ku górze i splatamy dłonie. Z tej pozycji przechodzimy w ruch kołowy górnej części ciała, kołując tułowiem dziesięć razy w prawą stronę i dziesięć razy w lewą stronę. Chcąc zataczać górną częścią tułowia jak największe łuki, kontrolujemy się w lustrze. Obecnie z nastaniem pory wiosennej, możemy ćwiczenie to przeprowadzać na wolnem powietrzu, lecz dopiero wówczas, gdy uzyskamy pewność, że wykonujemy je prawidłowo. Po obydwu ćwiczeniach należy wstrząsnąć silnie całem ciałem, aby dać mięśniom wypoczynek i odprężenie.



Ćwiczenie drugie.

JAPOŃSKIE „HAPPY-NEW-YEAR"

Z okazji Nowego Roku wysłano w całej Japonji 800 miljonów pocztówek z życzeniami noworocznemi. Nie osiem, nie osiemdziesiąt, lecz wyraźnie osiemset miljonów! Liczba to oczywiście imponująca. Z tego najmniej 70 procent musiano doręczyć w dniu 1-go stycznia i tę właśnie datę miały na znaczkach pocztowych wszystkie kartki noworoczne. Wprawdzie liczba ludności Japonji dochodzi już do 100 miljonów, lecz przecież nie wszyscy zajmują się korespondencją noworoczną. Dodać też trzeba, że niższe warstwy społeczeństwa w miastach oraz ludność wiejska ma nieznaczny tylko udział w tych 800 miljonach.

Któż więc wysyła te nieprawdopodobne ilości życzeń?

Japończycy wysyłają życzenia noworoczne w zależności od stanowiska społecznego oraz od ilości przyjaciół czy znajomych. — N. p. młodzieniec, który niedawno ukończył studja i od kilkunastu miesięcy pracuje w jakiemś biurze handlowem lub w urzędzie państwowym, wysyła mniejwięcej 100 pocztówek noworocznych. Właściciel poważniejszego przedsiębiorstwa lub wysoki urzędnik musi już wysłać 500 a nawet 1.000 kartek z życzeniami. Ogólnie zaś znani politycy, przemysłowcy, arystokraci, wysyłają po 30.000 kartek lub wizytówek z życzeniami. Jest to niemały wydatek, nawet dla bogacza. Na każdej bowiem pocztówce musi być nalepiony znaczek pocztowy wartości (w obrocie krajowym) półtorej seny (sen, setna część jena, a więc półtora grosza), a same pocztówki też coś kosztują, zależnie od papieru, druku i reprodukcji.

W tym noworocznym zwyczaju najważniejszą jest zasada, by kartki posiadały datę na znaczku pocztowym 1-go stycznia i aby były doręczone w tymże dniu. Tak nakazują formy grzecznościowe, w których, jak wiadomo, lubują się Japończycy i od których nie wolno odstąpić. Za wielki nietakt poczytywanoby np. urzędnikowi wysłanie życzeń w dniu 2 stycznia szefowi, który polecił swemu służącemu wysłać pocztówki noworoczne w dzień Nowego Roku do wszystkich znajomych, a między innymi również do tego opieszałego urzędnika. Podobna niegrzeczność raziłaby też silnie w sferach wojskowych, a już nie do pomyślenia jest ten brak form towarzyskich w kołach arystokratycznych.



Kolorowa okładka noworocznego japońskiego życzenia, rozsyłanego w setkach tysięcy przez synów Nipponu.

Z pomocą jednak swym klientom przychodzą urzędy pocztowe. Przyjmują one w całej Japonji kartki noworoczne do wysyłki już od 20 grudnia. Praca — jeśli uzmysłowimy sobie liczbę 800 miljonów pocztówek — wre w przeciągu tych 11 dni do Nowego Roku bez ustanku we wszystkich urzędach pocztowych. — Trzeba przecież oprócz zwykłej pracy, oddzielać kartki noworoczne od zwykłych, wybić datę 1-go stycznia, posegregować według miejscowości i wysłać w odpowiednim czasie, by w Nowy Rok już dotarły do miejsca przeznaczenia i znalazły się w ręce adresata. W Tokio na głównej poczcie, gdzie zwykle sortowaniem listów zajmuje się 800 ludzi. na czas od 20 grudnia do 1 stycznia podwaja się personal, a te dorywcze siły rekrutują się przeważnie ze studentów, korzystających w tym czasie z feryj świątecznych.

Zwyczaj przesyłania życzeń noworocznych przy pomocy poczty datuje się w Japonji od niedawna. Europejski system poczty zaprowadzono tam w 1874 roku, lecz początkowo nie wysyłano życzeń pocztą. Dziś zwyczaj ten stanowi niemałe źródło dochodu dla skarbu państwa. W ostatnich latach poczta zaczyna już wyręczać telegraf. Oto w 1936 r. w dwóch tylko prefekturach, mianowicie Tokio i Jokohama z okazji N. Roku doręczono 23.00 depesz z życzeniami a przeszło 24.000 wysłano poza obręb tych dwóch prefektur.

Ten.

Życzenia noworoczne posiadają w Japonji bardzo często tekst angielski.



„SKIZ" ZAPOLSKIEJ



Na scenie teatru im. St. Wyspiańskiego w Katowicach wystawiono ostatnio niezrównaną sztukę Gabrjeli Zapolskiej „Skiz". W starannie pod względem reżyserskim przygotowanej całości zyskał duży poklask świetnie zgrany zespół kameralny z Ireną Brenoczy jako Lulu na czele. Na zdjęciu: Zofja Grzębska (Muszka) i Marjan Godlewski (Tolo).

Fot. C. Datka — Katowice.

»SEN WUJASZKA« DOSTOJEWSKIEGO



Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie gra z dużem powodzeniem przeróbkę powieści Dostojewskiego p. t. „Sen wujaszka". Sztukę przygotował reżysersko doskonale Wacław Radulski, a bardzo pomysłową oprawę sceniczną dał jej Tadeusz Orłowicz. Główną rolę kobiecą gra znakomicie Romana Pawłowska. Na zdjęciu: R Pawłowska, J Korecka i W. Woźnik.

Fot. Azet — Kraków.

„KSIĄŻĘ NIEZŁOMNY" CALDERONA



W ciągu ostatnich tygodni teatr katowicki może się poszczycić drugim nielada sukcesem programowym, wystawiając „Księcia Niezłomnego". Mimo trudności inscenizacyjnych placówka katowicka wyszła obronną ręką, dając spektakl nawskróś oryginalny. — Zasługa to w znacznej mierze reżysera i odtwórcy roli tytułowej dr L. Pobóg-Kielanowskiego, którego widzimy na zdjęciu (na prawo).

SŁYNNA PARA FILMOWA



Na lewo.
O słynnej parze filmowej: Barbarze Stanwyck i Robercie Taylorze pisano bardzo wiele. Swego czasu prasa amerykańska lansowała nawet pogłoskę o bliskim ślubie tych gwiazd. Tymczasem Taylor, bożyszcze kobiet całego świata, wyjechał wówczas w podróż po Europie i plotki ucichły. Ostatnio pojawił się na ekranach film p. t. „Ostatnia noc skazańca", w którym ujrzymy znowu świetną parę w rolach głównych.

Z RAJDU DR. HEMPLA



Na prawo:
Dr. Jan Andrzej Hempel z Warszawy, wybitny turysta-sportowiec, odbył we wrześniu i październiku ub. r. niezwykle emocjonujący rajd automobilowy z Bombaju do Warszawy, ustalając na tej trasie rekordowy wyczyn sportowy. Dr. Hempel podróżował samochodem seryjnym, nie wzmacnianym specjalnie na niezwykłe trudności terenowe. Na zdjęciu: Dr. J. A. Hempel przy swym samochodzie w Bombaju na kilka chwil przed odjazdem.

HELENA LARYS-PAWIŃSKA



Na prawo:
Znakomita artystka dramatyczna Helena Larys-Pawińska, która przed laty święciła prawdziwe triumfy w teatrach warszawskich, wraca na scenę i wystąpi w popisowej roli sztuki J. Hertza „Jastrząb wśród gołębi" na deskach Teatru Malickiej.

Fot. St. Brzozowski, Warszawa.

GIGA POSCHÓWNA



Na lewo:
W Stanisławowie odbył się koncert na dochód pomocy zimowej, w którym solistką była utalentowana śpiewaczka Giga Poschówna, odnosząc na tym wieczorze zasłużony sukces artystyczny. P. Poschówna występowała ostatnio w operze poznańskiej.

Fot. M. Ryś — Poznań.

Przepisy nowoczesnego maquillage'u



Wskazówki ogólne:

Jeżeli pani zauważy, że maquillage nie trzyma się skóry, to mogą tu zachodzić dwie możliwości: albo zdrowie pani szwankuje i przechodzi pani okres zmęczenia lub zatrucia organizmu, albo też stan skóry pani pozostawia wiele do życzenia. Róż wnika w skórę, ponieważ pory skórne są rozszerzone. Należy więc tak długo pielęgnować skórę, póki nie stanie się ona zwartą. Potem trzeba używać różu suchego, pozostającego na powierzchni skóry.



1. Nie stosuj nigdy maquillage'u przed kąpielą, gdyż para wodna stapia niejako puder i krem, znajdujący się na twarzy, a wtedy będziesz zmuszona rozpocząć maquillage na nowo.



2. Różując twarz w czasie dnia, należy to czynić w pokoju dobrze oświetlonym światłem dziennem; natomiast gdy stosuje pani maquillage na wieczór, dobrze jest czynić to w pokoju oświetlonym światłem wieczornem.



3. Kosmetyki można stosować dopiero wtedy, gdy twarz została oczyszczona z poprzedniego maquillage'u. Niektórym kobietom nie udaje się narysowanie dobrego łuku warg, gdyż pozostały jeszcze resztki kredki z dnia poprzedniego. Trzeba więc dwa razy tygodniowo przemyć wargi eterem siarkowym, ale tylko wówczas, gdy skóra jest odpowiednio odporna.



4. Rozetrzeć na twarzy i na szyi krem, na który nałożymy puder. Rozpocząć maquillage w chwili, kiedy twarz jest jeszcze tłusta, to jest przed usunięciem kremu.



5. Rozpoczynamy maquillage od oczu, a nie od policzków. Ocieniwszy oczy, zauważy pani, że twarz nabiera wyrazistości, co pozwoli użyć mniej różu.



6. Istnieją dwa rodzaje różu: jeden o odcieniu jaśniejszym i żywym kolorze; drugi ciemniejszy i stonowany. Zależnie od użycia jednego lub drugiego, należy stosować dwie metody: a) róż o żywym kolorze nakłada się na policzki jeszcze tłuste od kremu, aby tem łatwiej się rozpuścił, b) róż stonowany o ciemniejszym odcieniu, nakłada się po usunięciu kremu z twarzy, gdyż nie powinien się rozpuszczać.



7. Aby maquillage był bez zarzutu, należy przeczekać pięć minut po umalowaniu oczu i policzków. Lekki masaż, jaki nastąpił przy malowaniu, powoduje zaróżowienie lub bladość twarzy; to też trzeba przeczekać te chwile, by twarz wróciła do normalnego stanu.



8. Może się zdarzyć, że na twarzy znajduje się zadużo kosmetyków. — Wówczas nadmiar ich usunie pani, kładąc na twarzy serwetkę, którą przyciska się do twarzy lekkiemi uderzeniami z pomocą dziesięciu palców.



9. Watą, czy też puszkiem pudrujemy twarz obficie pudrem nieco jaśniejszym od cery. To ostatnie dotyczy warg, szyi i powiek.



10. Zaczynamy maquillage ust: a) rysujemy kąty ust ołówkiem tegoż koloru, co kredka do ust, a następnie b) wypełniamy kontury różem zwykłym.



11. Małą łagodną szczoteczką zdejmujemy z twarzy nadmiar pudru.



12. Spoglądamy w lustro, by się przekonać, czy nie położyliśmy za dużo różu na policzkach. Jeżeli zachodzi ten wypadek, należy nałożyć trochę różu suchego.

Dokończenie na str. 31-ej.

WIOSENNĄ PORĄ NA ULICY

O ciepło! Ile stopni? 21! Jak na marzec, to wcale nieźle! Zaskoczyło nas to nieco. To jak gdyby wojna zaskoczyła nieprzygotowanych cywilów. Jeden nosi marynarkę w prążki do ułańskich spodni, drugi cholewy do pumpów. Takie mniej więcej wrażenie sprawia nasza ulica, gdy przyglądamy się paniom, nie przygotowanym na kampanję wiosenną — kampanję wiosennej mody.

Przypatrzmy się więc w czasie promenady w promieniach wiosennego słońca strojom naszych elegantek. Ależ to istny film humorystyczny! Obrazuje nasz brak orjentacji i przewidywania, charakterystyczne opuszczanie się na ostatnią chwilę. Obok damy, otulonej jak w styczniu w ciężkie futro, widzimy promenującą z zalotnym uśmiechem panienkę w granatowej sukni, czarnej futrzanej pelerynie, w żółtych bucikach i — o zgrozo! w zielonym kapeluszu. A tuż za nią kroczy z miną pewną siebie, jakgdyby gotowa na podbój świata, inna pani w kostjumie z kusym żakiecikiem — anno domini 1936 — przekonana, że zielony kolor kostjumu licuje prześlicznie z kapeluszem granatowym, bo właśnie kapelusze granatowe są „takie modne"! Czapki futrzane, filce, słomki, welury — wszystko to przewija się w zgodnym galimatjasie przed wzrokiem zdumionego widza. Wszystkie pory roku zeszły się w tem marcowem słońcu, uśmiechającem się drwiąco z naszej prowincjonalnej elegancji. Szczyt wszystkiego, co zagranicą byłoby nie do pomyślenia, to pani w deszczowym trenczu, udekorowanym... niebieskim lisem!

Czem to tłumaczyć? Brakiem gotówki? Nie, moje panie, to żadna wymówka. Nie można lekceważyć w ten sposób opinji turystów z zagranicy, coraz liczniej zjeżdżających do Polski, nie można usprawiedliwiać niedbalstwa tem, że wiosna zaskoczyła nas niespodziewanie i że odpowiedni ekwipunek wymaga przygotowań i pieniędzy. Żurnale przynoszą nam już kreacje wiosenne od szeregu tygodni, niemal od połowy zimy. Czas było pomyśleć o „stawieniu czoła" wiosennej kampanji mody. Nie wymaga ona zresztą w tym sezonie nadzwyczajnych wysiłków. Skromny, przejściowy, szykowny kapelusz słomkowy, komplet wełniany, składający się z sukni i żakietu t. zw. „trzyćwierciowego", przybrany pasemkami futra, wytłaczanym jedwabiem lub stonowaną wełną, bucik zamszowy lub kombinowany w kolorze dobranym do całości — ot i wszystko, aby wyglądać elegancko i stosownie do pory roku. Pewien zmysł orjentacji, przewidywania i wreszcie odrobina dobrego smaku jest konieczna, jeżeli chce się czynić dobre wrażenie. Niech ulica nasza nie razi przy przyglądaniu się znanym z urody i szyku Polkom chaotycznością, złym gustem i prowincjonalnością. Jak cię widzą, tak cię piszą — to przysłowie musimy brać dosłownie, jeżeli nie chcemy czytać z uczuciem zawstydzenia lekceważących wzmianek o elegancji Polek w reportażach, przeznaczonych dla zagranicy!

Mab.



Na prawo:
Bardzo efektowny, dwubarwny komplet wiosenny z brązowej i żółtej wełny, uzupełniony fantazyjnym kapeluszem w tych samych barwach.

Fot. C. Anders — Paryż.

PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka — obliczone na 3—4 osoby.

ZUPA Z SALSEFJI. Zanim zabierzemy się do czyszczenia salsefji (czarne korzonki), należy przygotować w misce wodę, w której rozkłucono dwie łyżki mąki oraz łyżkę octu. Do tej wody rzuca się oskrobane kawałki salsefji i pozostawia w niej aż do użycia. Zabieg ten jest konieczny, aby jarzyna nie czerniała. Na zupę wystarczy 15—20 dkg. Tak przygotowane korzonki związuje się w pęczek i gotuje w słonej wodzie jak szparagi. Kiedy są już miękkie, przeciera się połowę z nich przez sito do wody, w której się gotowały, resztę kraje się w małe kawałki i wkłada do wazy. Zupę podprawia się szklanką śmietanki i żółtkiem, zagotowuje i podaje z grzankami. Tę samą zupę gotować można na rosole i podprawić w miejsce śmietanki zasmażką.

SANDACZ Z PIECZARKAMI. Z oczyszczonego, odleżałego w soli sandacza, odcina się głowę i wyjmuje ości, aby wygotować je z jarzynami i cebulą. Sandacza przecina się przez pół i kraje w zrazy na dłoń szerokie. Każdy zraz smaruje się masłem, posypuje tartą bułką i siekanemi kaparkami, następnie zwija się je i owiązuje nitką lub spina specjalnemi spinaczami, poczem układa się je ciasno na maśle w rynce, wrzuca 10 dkg pokrajanych pieczarek i dusi, podlewając rosołem z wygotowanych odpadków ryby. Po pół godzinie wlewa się na rybę szklankę śmietany, rozbitej z łyżeczką mąki, zagotowuje i wydaje obłożoną ryżem, makaronem lub tartemi ziemniakami.

SAŁATKA ŚLEDZIOWO-JARZYNOWA. Do sporządzenia tej bardzo smacznej sałatki potrzebne są następujące dodatki: pół filiżanki fasolki sałatowej i tyleż soczewicy, dwa ziemniaki t. zw. rogalki, 1 buraczek, 1 mały seler, wszystko oczywiście ugotowane; następnie przygotowujemy: śledzia matjasa, dwa sardelki, 2 twarde jaja, kwaśne jabłko, szklankę kwaśnej śmietany, oliwę, ocet, garstkę kaparów, sałatę zieloną lub ogórek. Sałatkę sporządza się w ten sposób: śledzia i sardelki rozciera się z żółtkami i oliwą, poczem dodaje się jabłko utarte na tarce, seler i ziemniaki pokrajane w talarki, oraz fasolkę i soczewicę. Wszystko kropi się octem, zalewa kwaśną śmietaną i miesza dokładnie. Sałatkę ułożoną płasko na salaterce ubiera się kaparami, zieloną sałtą lub ogórkami, buraczkami i siekanemi białkami jaj.

SZPINAK Z JAJAMI. Oczyszczony i w kilku wodach wymyty szpinak, rzuca się na wrzącą słoną wodę i gotuje **bez przykrycia**, aby pozostał zielony. Po 10 minutach gotowania, osącza się szpinak na sicie, następnie przemiela, miesza z zasmażką, zalaną mlekiem i zagotowuje na gęsto. W międzyczasie sporządza się purée ziemniaczane utarte z masłem i mlekiem do białości. Na brytwance natartej masłem układa się z purée ziemniaczanego krążki wielkości talerzyka; na środek każdego krążka kładzie się dwie łyżki szpinaku w ten sposób, aby purée na szerokości palca było widoczne, w szpinaku robi się łyżką dołek, do którego wybija się jajko. Wszystko kropi się masłem, posypuje parmezanem lub bułeczką i zapieka w piecyku przez 5—8 minut.

SZEWSKIE PĄCZKI. Zwykłe suszone śliwki nie kalifornijskie, wymyte w ciepłej wodzie, zostawia się przez noc namoczone w zimnej wodzie. Nazajutrz obsusza się je, wysypawszy na czystą ściereczkę i ostrożnie wyjmuje pestki. Z 2 żółtek, łyżki piwa lub octu, 4 łyżek mleka, szczypty soli oraz odpowiedniej ilości mąki sporządza się t. zw. lane ciasto, trochę gęściejsze niż zazwyczaj, dodaje się wkońcu pianę ubitą z 2 białek; każdą śliwkę nabraną na widelec moczy się dokładnie w cieście i smaży na rozpalonym mieszanym tłuszczu, pływającą jak pączki. Osypane suto mączką cukrową, zmieszaną z cynamonem, podaje się szybko, gdyż przetrzymane dłużej wilgną i stają się niesmaczne.

KREM POMARAŃCZOWY. 1 całe jaje i 1 żółtko, dwie łyżki cukru z zapachem pomarańczy, kieliszek wina i sok z dwóch pomarańcz, ubija się na parze aż zgęstnieje, bez zagotowania się. Ostudzony krem podaje się w płaskich kieliszkach, przybrany pianką utartą z białka i łyżki galaretki pomarańczowej. Makaroniki lub biszkopty jako dodatek.

PŁATKI OWSIANE NA MLEKU podaje się w każdym domu angielskim do pierwszego śniadania. Bardzo zdrowe i pożywne to danie, należałoby przyswoić w naszych kuchniach, szczególnie dla dzieci. Sporządza się je tak: łyżkę płatków owsianych miesza się z szklanką mleka i pozostawia w niem przez noc. Rano gotuje się mleko z płatkami przez kwadrans, następnie wydaje z świeżem masłem i posypane cukrem. Potrawa ma być tak gęsta jak zwykle u nas bywa gotowany grysik.

ZUPA Z BUŁEK NA ŚMIETANCE. 5 suchych bułek warszawskich lub rożków kraje się w kawałki i zalewa litrem wrzącej wody, dodaje łyżkę masła i troszkę soli, potem rozgotowuje i przeciera przez sito. Szklankę śmietanki rozkłuca się w wazie z dwoma żółtkami i zalewa, mieszając gorącą zupą. Podaje się bez żadnych dodatków. Zupa powinna być dość gęsta. **Sc. Ko.**

NOWOŚCI

GOSPODARSTWA DOMOWEGO



W każdem gospodarstwie domowem — nieodzownym sprzętem jest waga, która powinna harmonizować z całem urządzeniem kuchni. Obok zamieszczony model wagi wykonany jest cały z bakelitu w jasnych odcieniach — popielatym, niebieskim, beige lub żółtawym.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Tydzień 14

Marzec

31 dni

NIEDZIELA 27 — Lidii, Ruperta

Zupa z drobiu. Paszteciki z móżdżków. Gołąbki nadziewane pieczone z krokietami. Kompot mieszany. Tort domowy.
Kolacja: Carré wieprzowe na zimno z sałatą.

PONIEDZ. 28 — Sykstusa pap.

Zupa z salsefji z grzankami. Budyń jarzynowy. Rozbratle z maszynki z kładzionemi kluskami. Szewskie pączki.
Kolacja: Jaja na szpinaku.

WTOREK 29 — Cyryla, Eustaz.

Rosół z kaszką. Sztuka mięsa w ostrym sosie musztardowym. Dzika kaczka z czerwoną kapustą. Krem pomarańczowy z waflami.
Kolacja: Omlet z szynką.

ŚRODA 30 — Kwiryna, Gwid.

Pomidorówka z ryżem. Płatki z kapustą. Pieczeń nerkowa z marchewką, groszkiem i smażonemi ziemniaczkami. Naleśniki z serem.
Kolacja: Kruszka cielęce smażone.

CZWARTEK 31 — Balbiny, Kornelii

Zupa wątrobiana. Ragoût z nóżek cielęcych. Kotlety wieprzowe duszone w kapuście /debreczyńskie/. Biszkopt z pianką winną.
Kolacja: Smażona kiełbasa z chrzanem.

Kwiecień

PIĄTEK 1 — Hugona bisk.

Zupa szczawiowa na śmietanie z twardemi jajami. Makaron zapiekany z serem. Sandacz z pieczarkami. Ryż z kwaśną śmietaną.
Kolacja: Sałatka z śledzia i jarzyn, masło, rzodkiewka.

SOBOTA 2 — Franciszka z P.

Rosół "Julienne". Salsefia, bulwy i brukselka z masłem. Pieczeń wołowa na dziko z makaronem. Kompot z rabarbaru.
Kolacja: Hachée z mięsa rosołowego z sadzonemi jajami.

HOCKI-KLOCKI

PRZESĄDNY LOTNIK.



— Będę miał pecha, bo czarny ptak przeleciał mi drogę... (Rys. Charlie)

GRZECZNY DOZORCA.



— Już pan ucieka? (Rys. Charlie)

Rozwiązania Nru z 12-go.

PŁOT.

1.600 m².

ZEGAR WIEŻOWY.

Miedzy pierwszem a szóstem uderzeniem jest pięć przerw, między szóstem i dwunastem — sześć. A więc drugi chłopiec wygrał zakład.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

DZIAŁANIE NA KRZYŻ.

```
      2  ×  .  .  =  .  .  .
  .  .  .  :     3  =  .  .  .
  8  4  +  .  .  =     .  .
     .  .  —     .  =        2
────────────────────────────
3  .  .  .  .  .     4  .  .
```

W miejsce kropek należy wstawić po jednej cyfrze w ten sposób, aby spełnić zaznaczone działania. Liczby u dołu kolumn są sumami czterech liczb nad niemi stojących i te trzy sumy są od siebie niezależne. Jak wyglądają wszystkie działania po uzupełnieniu?

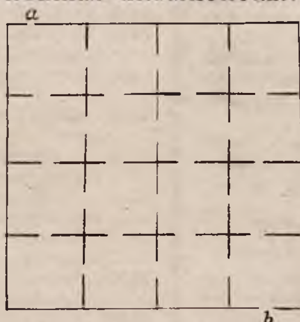
MUCHA.

Dwaj cykliści, Jan i Grzegorz, wyruszają jednocześnie z dwóch punktów A i B, odległych o 60 km. Jadą naprzeciw siebie po prostej drodze. Jan jedzie z szybkością 10 km na godz., a Grzegorz — 15 km na godz. Mucha, lecąca z szybkością 20 km na godz. wylatuje z punktu A wraz z Janem i leci wzdłuż drogi naprzeciw Grzegorza. Po spotkaniu go leci zpowrotem do Jana. Mucha latała między cyklistami dopóty, dopóki się nie spotkali. Ile km przeleciała mucha?

OWCE.

Każdy z trzech sąsiadów — Tomasz, Stefan i Henryk — mają pewną ilość owiec. Gdyby Tomasz dał 18 swych owiec Stefanowi, Stefan miałby wtedy dwa razy więcej owiec od niego. Gdyby zaś Stefan dał 18 owiec Henrykowi, Henryk miałby dwa razy więcej owiec od Stefana. Jednak, gdyby Henryk był dosyć szlachetny i dał zkolei 18 swych owiec Tomaszowi, Tomasz miałby tyle samo owiec, ile ich ma Henryk. Czytelnicy już chyba domyślają się końca zadania? Ile owiec posiada każdy z trzech sąsiadów?

PROBLEM GEOMETRYCZNY.



Rysunek przedstawia duży kwadrat, podzielony na szesnaście mniejszych. Proponujemy czytelnikom podzielić ten kwadrat na trzy równe części, przeprowadzając z punktu A dwie linje proste.

POCAŁUNKI NA PRZYJĘCIU.

Na noworocznem przyjęciu u państwa Kanarków było sześć małżeństw, jeden wdowiec i trzy wdowy, dwunastu młodych kawalerów i dziesięć młodych panien na wydaniu. Gdy całe towarzystwo było już dobrze podochocone, wymyślono śmieszną zabawę, która polegała na tem, że **wszyscy musieli się chociaż raz pocałować,** z następującemi ograniczeniami: żaden z panów nie pocałował innego pana i żaden żonaty pan nie całował innej zamężnej pani poza własną żoną. Kawalerowie całowali panny aż dwukrotnie. Wdowiec nikogo nie pocałował, a żadna wdowa nie pocałowała żadnej innej wdowy Zadanie polega na obliczeniu, ile pocałunków wymieniono na przyjęciu noworocznem, zakładając, że każdy pocałunek był zwrócony — ale ten „podwójny akt" należy liczyć jako jeden pocałunek.

INSPEKCJA DRÓG.

Pan inspektor chce osobiście zbadać stan wszystkich dróg w swoim powiecie. W tym celu wyrusza z miasta powiatowego, oznaczonego na rysunku literą A, i przejeżdża samochodem wszystkie drogi, których długość w kilometrach jest również oznaczona na rysunku. Wobec tego jednak, że pan inspektor ma mało czasu, proponujemy czytelnikom wskazanie najkrótszej trasy, jaką można przejechać wszystkie drogi i skończyć podróż w dowolnem mieście.

ŻYCZLIWY INFORMATOR.



Samobójca: Czy pociąg ma spóźnienie?

Urzędnik: — Tak, pół godziny, ale jeżeli panu się bardzo spieszy, to może się pan położy na szyny obok, pociąg przyjedzie za pięć minut! (Dimanche Illustre)

DZIWNA MODELKA.



— Teraz może pani sobie odpocząć na chwilę! (London Opinion).

Dokończenie ze str. 28-ej.

13. Pudrujemy na nowo policzki i nos pudrem nieco ciemniejszym, zaś szyję i czoło jaśniejszym.

14. Teraz następuje maquillage rzęs. Jest to zabieg delikatny i należy zwracać uwagę, aby szczoteczka, której się używa, była bezwzględnie czysta i nie zawierała innych składników. Maczamy szczoteczkę w ciepłej wodzie i rozcieramy „maskarę", a następnie przesuwamy szczoteczką po zewnętrznej stronie rzęs górnej powieki.

15. Załatwiwszy w ten sposób maquillage oczu, nakładamy na nowo „maskarę", ale tym razem, nie maczając szczotki w ciepłej wodzie. — Drugi ten podkład będzie grubszy: spryskawszy lekko dolną powiekę lub górną „maskarą", należy usunąć tę plamkę zapomocą waty nałożonej na patyczek.

16. Spójrzmy teraz w lustro: szczoteczką od pudru nacieramy twarz.

17. Watą zamaczaną w wodzie kolońskiej, przemywamy skórę tam, gdzie się zaczynają włosy, aby w nich nie pozostawić nawet śladu pudru.

18. Przedłużamy rzęsy lekkiem dotknięciem ołówka i przeczesujemy je małą, twardą szczoteczką.

To warto poznać..

NOWE KSIĄŻKI.

A. J. CRONIN: „GWIAZDY PATRZĄ NA NAS“. Wyd. J. Przeworskiego. Bohaterzy tej świetnej powieści wyrastają z pod ziemi, z ponurych sztolni i poziomów zalanych wodą. Dzieje się to z początkiem XX wieku, kiedy poczynają wiać ożywcze prądy. Rozwoju, nieomal biologicznego doczekają się te istoty i ich zamierzenia — w okresie fermentu wojny światowej.

Ludzie z kopalni, którzy zerwali z podziemnem życiem, zostają na powierzchni ziemi wtłoczeni w wiry zawiści, protekcji, przekupstwa i zdrady, pozbawieni zostają szerokiego oddechu. Przeżywają ponure życie i ponurością tą zdają się być obciążeni dziedzicznie. Nie śmieją się i nie cieszą widokiem słońca, które mogą wreszcie oglądać. Promienie tego słońca jednak pozwalają dostrzec, że są oni bliscy braciom z ziemi. Nie reprezentują zagadkowych kretów. Są marzycielami, hochsztaplerami kradnącymi w biurach bookmacherów, ludźmi walczącymi, wciąż pokonywanymi.

Sprężyną wszystkich wydarzeń, która rozszerza stopniowo horyzont zainteresowań czytelnika aż do panoramy wojennej, jest Robert Fenwick. Nie przestaje on nią być nawet po śmierci. On jeden z pośród tysięcy, może stać się oskarżeniem i biczem bożym.

Za życia cichy, usiłujący walczyć, wreszcie może zrezygnowany. Po śmierci tajemniczy, groźny szkielet w nieznanej sztolni, z ukrytą na piersiach tajemnicą podziemnych galeryj i machinacyj, które dotąd widzą tylko gwiazdy.

Zbliża się wojna światowa. To wielkie przeżycie całego świata — niezbyt jeszcze odległe, by zmienić się w legendę, sprawia, że postacie Cronina nabierają znamion osób historycznych, a wydarzenia i bieg wypadków wydaje się być autentyczny.

W tem tkwi siła sugestywna książki: „Gwiazdy patrzą na nas“, którą potęguje jeszcze beznamiętny stosunek autora do ujemnych i dodatnich wartości wydarzeń i ludzi. Konstrukcja wieloplanowości akcji, zataczającej coraz szersze kręgi, wydaje się być doskonałą. Powieść Cronina jest zmontowana, bez przeskoków w nastroju, barwie, akcji, emocjonalnej temperaturze, o wciąż rosnącem napięciu.

Brak głównego bohatera i jednakowe naświetlenie wszystkich postaci, rysujących się jasno i ostro w swej osobowości, odsuwa czytelnika od udziału w akcji, ale jednocześnie pozwala mu tem dokładniej, ze spokojną rozwagą poznawać najdrobniejsze nawet szczegóły konstrukcji tej emocjonującej lektury.

Na koniec jedna uwaga: korekta literowa książki niedokładna.

J. m. b.

NA SCENIE.

LWÓW. W Teatrze Wielkim wystawiono sztukę Jules Romainsa p. t. **„Donogoo Tonka“**. Utwór ten, pełen ruchu i werwy stawia niemałe trudności realizatorom: 23 odsłony wymagają nielada pomysłowości reżysera i dekoratora. Zadanie to spełnili zadawalająco dyr. Warnecki i M. Różański. W roli głównej dobrze zapisał się p. Madaliński. Obok niego należy wymienić p. Machalskiego. Reszty zespołu dopełnili pp.: Szymański, Więckowski, Kalinowski, Szaławski, Baryka, Dubrawski, Kępka-Bajerski.

KATOWICE. Cieszącą się w obecnym sezonie wielkiem powodzeniem w Warszawie sztukę Zapolskiej **„Skiz“** wprowadził na scenę Teatr im. Wyspiańskiego w reżyserji Konstantego Tatarkiewicza. Dobrze wywiązała się z roli tytułowej p. Irena Brenoczy. Muszką była p. Z. Grzębska. Role męskie przypadły pp. Tatarkiewiczowi i Godlewskiemu.

POZNAŃ. W Teatrze Nowym wystawiono komedję amerykańską **„Gorączka nafty“** Jacka Larrhax w wykonaniu zespołu wędrownego. Z pośród wykonawców należy wyróżnić p. Bystrzyńskiego, Tylczyńskiego, panie Orszańską, Żuromską.

CZĘSTOCHOWA. Na scenie Teatru Kameralnego wystawiono utwór Bekeffi'ego p. t. **„Niesprawiedliwiona godzina“**. W roli głównej wystąpiła p. Łucja Naniewska. Z innych wyróżnili się pp. Zarembina, Wasilewski, Pelszyk, Puchniewska, Gliński, Salanga i Baronówna. Dekoracje p. Węgrzyna.

TORUŃ. Teatr Ziemi Pomorskiej wystawił sztukę Zygmunta Nowakowskiego p. t. **„Gałązka rozmarynu“**, w reżyserji Antoniego Piekarskiego. Wszyscy wykonawcy zdobyli się na rzetelny wysiłek, dając rzecz na należytym poziomie artystycznym, toteż sztuka odniosła zasłużony sukces.

J.



Niedziela, 27 marca.

9.00 Transmisja nabożeństwa z kościoła Najśw. Marji Panny w Piekarach Śląskich. Przed nabożeństwem reportaż.
11.0 „Madame Butterfly“ — skrót opery Pucciniego z płyt.
12.03 Poranek symfoniczny z Krakowa.
13.10 „O Maćku“, który w górach przepadł“ — opowiadanie Tetmajera.
13.30 Muzyka obiadowa.
ok. 14.00 Wyniki Wielkiego Konkursu Zimowego.
14.45 Audycja dla wsi.
15.45 Wszystkiego po trochu — audycja dla dzieci.
16.05 Stare pieśni ukraińskie (ze Lwowa.
16.45 „Amer“ — ponury cień Sahary“ — opowieść mówiona.
17.00 „Podwieczorek przy mikrofonie“ z Poznania.
18.35 „Ciemnogród“ — premjera słuchowiska groteskowego.
19.35 „Słynni wirtuozi“ — (XVI audycja.
21.15 „Sensacja amerykańska“ — „Wesoła Syrena“.
22.00 „Opowieść o Beethovenie“, (V audycja): „Na szczyty“.

Poniedziałek, 28 marca.

15.45 „Z pieśnią po kraju“.
16.15 Orkiestra rozrywkowa z Łodzi.
17.00 „Film w szkole“ — odczyt.
17.15 Recital fortepianowy Stanisława Szpinelskiego.
18.10 Piosenki w wykonaniu Turnera Laytora (płyty).
18.35 Audycja dla wsi.
19.00 „Magia sportu“ — słuchowisko Józefa Kempy.
19.30 Dyskutujmy: „Wytwórca czy spożywca“ — djalog.
20.00 „Kaleidoskop“ — lekka audycja muzyczna (z Poznania).
21.00 W pierwszą rocznicę śmierci Karola Szymanowskiego. — Koncert symfoniczny, transmisja z Teatru Wielkiego.

Wtorek, 29 marca.

11.40 Muzyka francuska (płyty).
15.45 „Przy kominku“ — audycja dla dzieci.
16.15 Koncert Orkiestry Wileńsk.
17.00 „Od Kairu do Luksoru“ — felieton.
17.15 Recital skrzypcowy Ignacego Weissenberga.
18.35 Audycja dla wsi.
19.00 Wieczór bajek XIX i XX wieku w opracowaniu K. Górskiego.
20.00 Melodje taneczne w wyk. Małej Orkiestry P. R.
20.45 „Złoto Renu“ — dramat muzyczny Wagnera. Tarnsmisja z teatru „La Scala“ w Medjolanie.

Środa, 30 marca.

11.40 Feliks Mendelssohn: Fragmenty z trio d-moll op. 49 — (płyty).
15.45 „Janek z lasu“ — opowiadanie dla dzieci.
16.15 Muzyka salonowa w wykonaniu Kwartetu Rozgłośni Krakowskiej.
17.00 „Człowiek wojny przyszłości“ — odczyt.
17.15 „Jan Sebastian Bach“ — koncert.
17.50 Młodzież przed wyborem liceum — odczyt.
18.10 Sylwetki kompozytorów jazzowych (płyty).
18.35 Audycja dla wsi.
19.00 „Wrak“ — nowela z życia rybaków kaszubskich.
19.20 Zapomniane pieśni w wykonaniu Mieczysława Saleckiego.
19.35 „Rzecz o półce księgarskiej“, djalog dyskusyjny.
19.50 Przemówienie wojewody śląskiego dr M. Grażyńskiego z okazji „Tygodnia Polskiego Zw. Zachodniego“.
20.00 Koncert rozrywkowy (płyty).
21.00 Koncert chopinowski w wyk. Colette Gaveau.
21.45 Z cyklu nieprzemijający urok poezji — „Pan Szambelan i poeta“ — kwadrans poetycki.

Czwartek, 31 marca.

11.15 „Pieśni i tańce Mazowsza“, poranek muzyczny.
11.40 Gra Colette Frantz, skrzypce (płyty).
15.45 „Wędrówki muzyczne“ — audycja dla młodzieży.
16.15 Muzyka lekka w wykonaniu Orkiestry Wojskowej.
17.00 Wiedza i książka: „Człowiek pod mikroskopem“ — odczyt.
17.15 Recital fortepian. Agi Jambor.
19.00 Oryginalny Teatr Wyobraźni: „Protekcja“ — komedja radjowa.
19.30 Wileńskie pieśni regjonalne.
19.50 Przemówienie wojewody pomorskiego min. Wł. Raczkiewicza.
20.00 Muzyka lekka i taneczna.
21.45 „Rozmowa o powieści“ — djalog W. Sieroszewskiego i M. Rusinka.
22.00. Koncert kameralny.

Piątek, 1 kwietnia.

11.40 Tenor Francesco Merli w duetach operowych (płyty).
15.45 „Hokus-Pokus-Dominikus“ — wesoła audycja dla dzieci.
16.15 „Ze wspomnień Komilitona“ — lekka audycja muz.-słowna.
17.00 Pośrednictwo pracy — pogadanka.
17.15 Z teki kompozytorów lwowskich — koncert.
18.10 Muzyka lekka (płyty).
19.00 „Kurant staroświecki: „Pan Eugenjusz“ — szkic obyczajowy.
19.30 Recital mandolinowy Fanny Slezak.
20.00 Koncert wieczorny z Krakowa.
21.55 „Pierwsza krajowa audycja telewizyjna“ ze Lwowa.

Sobota, 2 kwietnia.

11.40 Wolfgang Amadeusz Mozart: Serenada „Eine kleine Nachtmusik“ (płyty).
12.03 Audycja południowa.
15.45 Słuchowisko dla dzieci: „Jak polska pyza wędrowała“.
16.15 Koncert solistów — muzyka lekka.
16.50 Transmisja nabożeństwa z kaplicy Matki Boskiej Bolesnej kościoła Franciszkańskiego w Krakowie.
19.00 Audycja dla Polaków zagranicą.
20.00 Koncert rozrywkowy.
21.45 Dwa monologi Sing-Eltona.
22.00 Orkiestra Adama Hermana.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa“, zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych artykułów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.